

ROZMOWY W WILLI DECJUSZA

ODBUDOWA POKOJU W SPOŁECZEŃSTWACH POSTKONFLIKTOWYCH

Rola mediów i organizacji
obywatelskich

część II

VD
VILLA
DECIUS

ODBUDOWA POKOJU
W SPOŁECZEŃSTWACH
POSTKONFLIKTOWYCH

Rozmowy w Willi Decjusza 5

**ODBUDOWA POKOJU
W SPOŁECZEŃSTWACH
POSTKONFLIKTOWYCH**

Rola mediów i organizacji obywatelskich

Część II

29-30 września 2004 roku

Redakcja
Paweł Świdorski



© Copyright by Stowarzyszenie Willa Decjusza 2005

Opublikowano dzięki pomocy finansowej Ministerstwa Kultury, Ministerstwa
Obrony Narodowej oraz Ambasady Brytyjskiej w Warszawie



Koordinator wydania: Jadwiga Figiel

Koordinacja konferencji: Jadwiga Figiel, Dominika Jaźwiecka-Bujalska

Tłumaczenia: Paweł Świdorski

Współpraca redakcyjna: Olga Glondys

Projekt strony tytułowej: Siódme Niebo s.c.

Zdjęcie na okładce: Paweł Zachenter

Zdjęcia: Paweł Mazur

Adjustacja: Anna Grochowska-Piróg

Skład, łamanie i przygotowanie do druku: Fabryka Grafiki s.c.

Druk: Drukarnia Leyko, Kraków

Uwaga: Tekst nieautoryzowany, wszelkie skróty pochodzą od Redakcji

ISBN: 83-88292-93-5

Spis treści

Media i organizacje międzynarodowe – wygaszanie konfliktów i odbudowa państwa

Debata IV

Relacjonowanie i analizowanie konfliktów – granice wolności słowa. 9

Debata V

Dyplomacja czy propaganda – wygaszanie konfliktów w mediach. 32

Debata VI

Rola instytucji i organizacji międzynarodowych w odbudowie państw postkonfliktowych. Konieczność demokratyzacji? 58

Nagroda imienia Sergio Vieira de Mello

Wprowadzenie – Danuta Glondys 83

O Sergio Vieira de Mello – prof. Andrzej Zoll 83

Ogłoszenie werdyktu Kapituły Nagrody imienia Sergio Vieira de Mello

– Ewa Łabno-Fałęcka 84

Uzasadnienie werdyktu – prof. Jacek Woźniakowski, Agnieszka Kosowicz . . . 86

Podziękowania – Tadeusz Mazowiecki 87

– Grażyna Puławska, Marcin Princ 88

Eksperti, wykładowcy i uczestnicy dyskusji 93

Ilustracje 97



Część II

**Media i organizacje
międzynarodowe**

**Wygaszanie konfliktów
i odbudowa państwa**

DEBATA IV

Relacjonowanie i analizowanie konfliktów – granice wolności słowa

Katarzyna Kolenda-Zaleska, moderator:

Witam Państwa w drugim dniu konferencji. Tematem, od którego zaczniemy, jest: „Relacjonowanie i analizowanie konfliktów – granice wolności słowa”. A w naszym panelu wybitni goście: Milica Pesic, dyrektor Media Diversity Institute z Londynu, Krystyna Kurczab-Redlich, niezależny dziennikarz i dokumentalista, Dariusz Bohatkiewicz, korespondent wojenny TVP, Marcin Mamoń, reżyser i dokumentalista oraz Adam Szostkiewicz, komentator tygodnika „Polityka”. - Będziemy rozmawiać o tym, jak media relacjonują konflikty, czy relacjonują je prawdziwie, czy z tych relacji wyłania się prawdziwy obraz świata. Ryszard Kapuściński powiedział niedawno, że tylko w pięciu miejscach na ziemi rozgrywają się konflikty wojenne, a wszyscy mają wrażenie, że cały świat jest objęty wojną. Czy to nasza wina, że taki obraz świata wyłania się z naszych relacji? Mamy też rozmawiać o wolności słowa i zastanowić się, czy nasze relacje dotyczące wojen i konfliktów są rzeczywiście prawdziwe, czy jednak podlegają jakiejś cenzurze.

Na początek proszę każdego z Państwa o krótkie wprowadzenie, a później zapraszam do dyskusji.

Milica Pesic

Pozwólcie Państwo, że zacznę od odczytania cytatów z brytyjskiej prasy: „Jeżeli natrafie na Bin Ladena, najpierw odrąbuję mu głowę, a potem przyniosę do domu i oprawię w brąz”. To jeden cytat. Drugi to: „Idźcie, znajdźcie al-Kaidę i wybijcie ich. Wykończymy ich. Dajcie Bin Ladena, chcę mieć jego głowę w pudełku”. Drugi cytat pochodzi z instrukcji szefa wydziału antyterrorystycznego CIA, pierwszy natomiast jest cytatem z wypowiedzi mojego kolegi, dziennikarza. To Geraldo Rivera z telewizji FOX.

Sama byłam pracownikiem telewizji przez prawie dwadzieścia lat, pracowałam w Telewizji Serbia. Jak zapewne wiecie, TV Serbia była zbombardowana podczas, określiłabym to zgodnie z polityczną poprawnością, akcji NATO w Serbii. Więc akcja NATO miała miejsce nie tylko w Kosowie, lecz również w Serbii, aby poprawić jednego z przedmówców. Serbska TV została zbombardowana z uwagi na wykorzystywanie jej w charakterze narzędzia militarnego. Moglibyśmy dyskutować, czy jest to właściwe czy nie, lecz tak właśnie stwierdziła inna stacja telewizyjna, niepubliczna, narodowa stacja telewizyjna, która pokrywa prawie cały obszar Ameryki. Tak właśnie sprawozdaje się – tak moi koledzy podają informację o innych. Podam

parę terminów używanych przez dwie stacje telewizyjne. TV Fox: „rewolwerowcy terroryzmu”, „arabscy psychole”, „szczury”. Oczywiście, jest też druga strona. Telewizja Serbia tak mówi o bośniackich muzułmanach: „mudżahedini” – dla niej jest to najgorszy przymiotnik, jakim można kogokolwiek określić – „bumelanci”, „podrzynacze gardel”, „cholerni ustasze”. Ustasze byli chorwackimi nacjonalistami walczącymi w drugiej wojnie światowej, a potem podczas wojny w Europie południowo-wschodniej, która rozpoczęła się w 1990 roku. Taki był jeden z epitetów po drugiej stronie. Przy okazji: mój kolega Geraldo Rivera nosi broń, a jak wszyscy wiemy, dziennikarze nie powinni być uzbrojeni, przynajmniej nie po II wojnie światowej, zgodnie z Konwencją Genewską i innymi powszechnie uznawanymi dokumentami.

Wczoraj Premier Mazowiecki wspomniał o lokalnych i międzynarodowych dziennikarzach i mediach. Głęboko się z nim zgadzam, gdy mówi on o mediach lokalnych, że są zwykle prorządowe i, niestety, zwykle stronnicze. Tak dzieje się wszędzie, z małymi wyjątkami. Takie jest radio B92, które wspominał Pan Mazowiecki. Także radio „Oswobodzenie” i „Bośnia”. Media międzynarodowe – tu nie zgodziłabym się z Panem Mazowieckim, z prostego powodu. Jesteśmy medium międzynarodowym, gdy uprawiamy dziennikarstwo wobec konfliktu obcych, ale gdy dotyczy to naszego konfliktu, stajemy się emocjonalni w sferze werbalnej. Moją teorią jest, że im bliżej twojego domu rozgrywa się konflikt, tym trudniej jest być profesjonalnym dziennikarzem, szczególnie pracując dla znaczących mediów.

Dyplomacja, propaganda – to będzie temat innego panelu. Chciałabym jednakże wspomnieć jedną sprawę: dziennikarstwo często mylone jest z propagandą. Propaganda, jak Państwo wiecie, może być fantastyczna, wspaniała, dobra, zła, ale nie jest to dziennikarstwo. A więc dziennikarstwo też może być złe, fantastyczne, wspaniałe, ale nie ma ono niczego wspólnego z propagandą. To, co my musimy uprawiać jako dziennikarze, określam jako odpowiedzialne dziennikarstwo nie tylko podczas pokoju, chociaż słyszałam wielu, którzy twierdzili, że gdy wojna jest „na tapecie”, to należy zapomnieć o profesjonalnym dziennikarstwie.

My wszyscy mamy potrzebę „swojej strony”, czymkolwiek ta nasza strona miałyby być. Tak naprawdę, nigdy nie dowiedziałam się, czym jest nasz narodowy interes. Kim jest ten, który decyduje i definiuje interes narodowy w czasie konfliktu, w twoim własnym kraju, wśród ludzi, z którymi dorastałeś, z którymi się rodziłeś. Kim jest ten, kto o tym decyduje!? Dlaczego odpowiedzialne dziennikarstwo jest tak ważne zarówno w czasie pokoju, jak i konfliktu? Bo zapłacisz, jeżeli nie upra-

wiasz odpowiedzialnego dziennikarstwa, bo szczególnie w okresie konfliktu kosztuje to życie. Jeżeli jesteś gotów wziąć na siebie tę odpowiedzialność, przemyśl to dwa razy.

Wczoraj mówiliśmy o tym, jakie są elementy odpowiedzialnego dziennikarstwa. Wymieniliśmy kilka tych elementów, więc chciałabym powtórzyć jeden z nich, bardzo ważny i godny uwagi: różnice kulturowe. I znów: różnice kulturowe w znaczeniu kultury rzeczywiście w najszerszym określeniu tego słowa. Nie robiąc takich rzeczy jak w Bośni, gdzie Muzułmanie przez duże „M” oznaczają narodowość, a muzułmanie przez małe „m” oznaczają wspólnotę religijną. Tak, są części świata, gdzie muzułmanie mogą być agnostykami. Zapominamy o szacunku do ludzi w regionach danego konfliktu. I to nie tylko w odniesieniu do społeczności, w pewnym sensie są one różne jedna od drugiej, ale w odniesieniu do pojedynczych jednostek tych społeczności, ponieważ – jak to wskazuje doświadczenie z południowej Europy – w ramach jednej społeczności istnieje tyle różnych opcji, tyle różnych kultur i tak wiele różnych historii. Każda społeczność ma swoją własną interpretację historii lub też własną historię – bardzo ważną. Niestety, z tego co usłyszałam na tej konferencji, kiedy mówimy o tolerancji, kiedy mówimy o budowaniu pokoju i szacunku dla zróżnicowania, bardzo często posługujemy się stereotypami.

Bardzo istotnym jest dla odpowiedzialnego dziennikarstwa prezentowanie również najgorszych opinii. Zawsze jest więcej niż jedna historia. Zawsze jest więcej niż jedna interpretacja tego, co się dzieje, zawsze więcej niż jedno wytłumaczenie.

Swego czasu „Financial Times” opublikował wyniki badania dokonane przez instytut badawczy z Chicago, którego nazwy już nie pamiętam. Wyniki te pokazują, że dwie trzecie zwykłych Amerykanów nie jest za interwencjami w obcych krajach i są za tym, aby Ameryka przylączyła się do Międzynarodowego Trybunału Wojennego. To samo badanie pokazuje, że politycy i eksperci, dwie trzecie polityków i ekspertów w Ameryce myśli odwrotnie. Kim są więc ci politycy reprezentujący, ogólnie mówiąc, nie tylko Amerykę? Dlatego też dziennikarz musi zbierać opinie. Mówimy: *vox populi* jest nudny i wychodzi się na ulicę złapać parę osób, bo trzeba znaleźć sposób, żeby wiedzieć, co ludzie myślą. To oni zdecydowali kiedyś, że będziesz prezydentem czy też premierem, członkiem parlamentu czy czymkolwiek innym. Oni zmienili zdanie zgodnie z tym, czego dokonałeś lub czego nie dokonałeś, lub kłamałeś w swoich obietnicach. Więc my, dziennikarze, musimy relacjonować nawet najgorsze opinie. „Co krzyczy, to nęci” to popularne powiedzenie w Wielkiej Brytanii. Dlatego też mamy konflikty w telewizji. Jest ona atrak-

cyjna wizualnie. Zdjęcia są atrakcyjne. Jednym ze sposobów na uprawianie odpowiedzialnego dziennikarstwa jest wyjście poza tę atrakcyjność i relacjonowanie tego, co wygląda nudno: szare ubrania, szare nakrycia głowy, panowie ściskający ręce. To, co jest poza tym, to właśnie zmienia sprawy. A złe dziennikarstwo? Myślę, że jest to po prostu takie powiedzenie. Ja zawsze byłam w złym dziennikarstwie. W czasie drugiej wojny światowej było to do przyjęcia, ponieważ wszyscy walczyliśmy z nazizmem. Wierzę, że dla nikogo nie jest to dobre, również dla tych, co nas zwodzą. Najlepiej jest zachowywać dystans psychiczny, co daje nam również dystans profesjonalny. Nie sądzę, aby było to bardzo trudne. Jest tak wielu dziennikarzy, którzy uprawiają profesjonalne dziennikarstwo. Jestem pewna, że moi koledzy będą jeszcze mówić o tym. Będę szczęśliwa, mogąc odpowiedzieć na Państwa pytania.

Krystyna Kurczab-Redlich

Najpierw chciałabym powiedzieć Państwu, kto to jest „niezależny dziennikarz”. Niezależnym dziennikarzem zostałam przez przypadek, a potem dopiero z pełną świadomością i wiem, że już zawsze chciałabym pozostać niezależnym dziennikarzem. Niezależny dziennikarz to taki, na którym nikomu nie zależy, żadnej redakcji – aby go podtrzymywać, ani żeby mu zapłacić, ani żeby go dokądkolwiek wysłać. Tylko jemu zależy, żeby coś powiedzieć, przekazać jakąś prawdę, która dla niego w danym momencie wydaje się najważniejsza.

Nie jestem korespondentem wojennym. W czasie pierwszej wojny czeczeńskiej zostałam to pole innym, bardziej profesjonalnym, bardziej do tego przygotowanym. Dlaczego? Dlatego, że pierwsza wojna czeczeńska, która zaczęła się w 1991 roku w grudniu, toczyła się na oczach Państwa. Tam właściwie nic nie było do ukrycia. Dziennikarze mieli wolny wstęp, jako że nazwana była ona „wprowadzeniem porządku konstytucyjnego”. *De facto* wiadomo było, że to jest wojna, którą toczy państwo z jakimś tam małym narodem.

Druga wojna czeczeńska to jest zupełnie co innego. Trafiłam do Czechenii pierwszy raz 1996 roku jesienią, zaraz po zakończeniu tamtej wojny. W 1997 roku mieszkałam tam już dość długo, bo ponad dwa miesiące, a potem jeździłam do Czechenii tak często, jak tylko było można, szczególnie w latach 2002-2003. Ostatni raz byłam w marcu tego roku.

Dlaczego zdecydowałam się na to, aby być świadkiem tego, co się tam dzieje? Ponieważ, może zabrzmiało to nieskromnie, w pewnym momencie zauważyłam, że

jeśli nie ja, to kto? Nie było chętnych, żeby jeździć do Czeczenii wtedy, kiedy właściwie wszystko, co tam się dzieje, odbywa się „w szulerni”.

Czeczenia jest miejscem, które od 1999 roku nie pojawia się na ekranach telewizyjnych i znika ze świadomości ludzi. Jest miejscem, w którym odbywa się straszliwa gra w szulerni, w podziemnej szulerni, gdzie jedna strona usiłuje bezradnie grać kartami otwartymi i nieoznaczonymi, a druga strona wyciąga karty co i raz znaczone, karty przygotowane. Taką główną kartą kremlowską jest terroryzm czeczeński. Jest to as atutowy, przygotowany już na początku. Kolejną kartą jest normalizacja w Czeczenii. Tam jest wszystko normalnie! „Odczepcie się, czego od nas chcecie, tam jest prezydent, tam jest konstytucja, a i parlament niedługo będzie”, mówią. Dlatego Czeczenia od drugiej wojny, Czeczenia od 1999 roku nie powinna się tutaj znaleźć jako przedmiot rozważań, ponieważ nie jest tematem postkonfliktowym. Tam nie ma konfliktu, tam cały czas toczy się straszna, ukryta przed naszymi oczami wojna.

Jak może wyglądać rzetelne i uczciwe relacjonowanie wydarzeń dziejących się na „płaszczyźnie rosyjskiej”? Wszyscy, którzy zajmują się Rosją, doskonale wiedzą, że od października 1999 roku, kiedy jeszcze nie istniał żaden oficjalny konflikt, administracja kremlowska wprowadziła restrykcyjne działania w stosunku do dziennikarzy. Przyjęto wówczas procedurę, która mówiła, że do Czeczenii może się dostać wyłącznie dziennikarz, który najpierw został akredytowany w Rosji, tj. przedłożył cały pakiet dokumentów, które przeszły przez wszystkie „święte” organizacje i został zaakceptowany. Wówczas mógł on złożyć kolejną prośbę o akredytację w Czeczenii, czyli następny plik papierów, łącznie z ubezpieczeniem. Do niedawna wszystko to odbywało się na ulicy, przed budynkiem administracji – nie wpuszczano nas nawet do środka, i wszystkie dokumenty oddawaliśmy na ulicy, punkt godzina piąta, we wtorki albo środy i otrzymywaliśmy je z powrotem również na ulicy, bez względu na to, czy padał deszcz, czy nie. Kiedyś, gdy usłyszałam: „Tu jest akredytacja do Czeczenii, ale do Czeczenii pani samej jechać nie wolno”, zapytałam: „Więc po co mi dajecie tę akredytację?” Odpowiedź i polityka były proste: „No, bo pani prosiła, to po pierwsze, a po drugie, jeśli będzie wyjazd grupowy, to z nim proszę bardzo, można jechać”.

Oczywiście byli dziennikarze, najczęściej zachodni, którzy jeździli tylko z wyjazdami grupowymi, a byli też i tacy, którzy jeździli bez względu na to, czy dano im akredytację, czy nie. I nie chodziło o to, żeby robić z siebie bohatera. Poruszanie się po Czeczenii jest sprawą bardzo niebezpieczną i nie jest to niebezpieczeństwo

występujące w Iraku. Nikt nie strzela w samochód, którym ja jadę. Po pierwsze, nie wiadomo, że jestem korespondentem, bo w miarę moich możliwości staram się upodobnić do kobiety czeczeńskiej, a po drugie, wiadomość o tym, że jedzie korespondent, mogłaby się tam dostać tylko przez donosicieli. Nikt z nas nie może zostać dłużej w Czeczenii niż dwa, trzy dni i wraca do Inguszetii, by potem znowu powrócić. Przygotowując relacje na Zachód, jesteśmy tam jakby „przejazdem”, po to, żeby jak najmniej można było nas zauważyć.

Jeśli chodzi o przekaz wewnętrzny, czyli rosyjski, to w roku 2001 została zlikwidowana, *de facto* jedyna niezależna, telewizja NTV. Choć narażała się wcześniej prezydentowi, została zamknięta dopiero po emisji programu, który udawał, czarno na białym, że zamachy terrorystyczne, które zapoczątkowały wszystkie następne akty terroru, czyli wysadzanie domów w Omsku itd., odbyły się z udziałem rosyjskich służb specjalnych. W programie tym przeprowadzono wnikliwą analizę zamachu terrorystycznego, który nie doszedł do skutku w Riazaniu. Było to tak, że koledzy z SB z Moskwy zapomnieli uprzedzić kolegów w Riazaniu o planowanej akcji, więc ci z Riazania, zaalarmowani przez mieszkańców domu, którzy zauważyli, że w pobliżu dzieje się coś dziwnego, natychmiast przybyli i osaczyli tych, którzy podkładali worki z hexagenem, czyli środkiem wybuchowym zmieszany z cukrem. W ostatnim momencie przyszedł z Moskwy rozkaz: „Stop, to nasi ludzie”. Rozkaz ten usłyszała telefonistka w Riazaniu, potem dziennikarze rosyjscy, którzy natychmiast zrobili z tego użytek. Na marginesie trzeba dodać, że kiedy rzecz stała się publiczną, Moskwa poinformowała, że były to ćwiczenia SB i tę wersję utrzymuje się do dzisiaj. Po bardzo szczegółowym śledztwie, które pokazano telewizjom, telewizja NTV przestała istnieć. Wkrótce potem powstała telewizja TV6, finansowana przez Borysa Bierzowskiego, ale i ta po paru miesiącach została zlikwidowana.

Można by zapytać, jak na to wszystko reaguje społeczeństwo? Wtedy, kiedy jeszcze można było trochę wierzyć i trochę działać, w 2001 roku, przy likwidacji telewizji NTV na apel dziennikarzy tej stacji odpowiedziało 200 000 ludzi, którzy stawili się pod budynkiem NTV mimo ulewnego deszczu, kordonów milicji itd. Kiedy likwidowano TV6, agonia przechodziła już przy ogólnym milczeniu.

Potem zlikwidowane zostały gazety: „Siewodnia”, „Społeczna Gazeta”, na czele której stał znany dysydent Jakowlew. Do dzisiaj pozostała tylko „Novaya Gazeta”, której nie można ukrećić lba tylko dlatego, że za nią stoi Fundacja Gorbaczowa i inne bardzo wysoko postawione światowe fundacje. Dziennikarze tej gazety wal-

czą o prawdę. Sławna Anna Politkowska jeździ do Czeczenii nieustannie, jest świadkiem tego, co tam się dzieje i mówi prawdę, całą prawdę w swoich dokumentach.

Pozwólcie, że tu nawiążę do odpowiedzialności za słowo. Otóż Anna Politkowska robi to, z czym ja absolutnie się nie zgadzam, i może dlatego nie jestem do końca do niej przekonana. Mianowicie, w swoich reportażach używa autentycznych nazwisk i adresów osób, u których była. Po jednym z takich reportaży zniknęło bez śladu dziesięć osób i wkrótce potem znaleziono ich trupy. Niemniej jednak Anna mówi: „Ja muszę pokazywać wszystko po to, żeby być wiarygodną”. Może tak, może nie.

Anna Politkowska mieszka w niestrzeżonym domu, do którego można wejść bez żadnego problemu. Ona po prostu się nie chroni, nie ma na to czasu. Jej wyjazdy do Londynu, często w sprawie Zakajewa, wyglądały zawsze w ten sposób, że przetrzymywano ją do ostatniej chwili, dosłownie do czasu odlotu samolotu, potem robiono jej rewizje osobiste, usiłowano jej coś tam podrzucić, czasem wyprowadzono ją z samolotu już przygotowanego do startu i musiała lecieć następnym lotem. Niedawno, gdy leciała do Biesłanu, próbowano ją otruć herbatą, podaną w samolocie hinduskich linii Karat. Lekarze na lotnisku z trudem uratowali jej życie, tym bardziej, że nie była to pierwsza próba otrucia Anny. Pierwszy raz podano jej zatrutą herbatę, kiedy ją porwano i znalazła się w Chankale, czyli w sztabie wojsk generalnych w Czeczenii. Niedawno zatrutą herbatą poczęstował ją sam Ramzan Kadyrow, syn prezydenta Kadyrowa, gdy usiłowała przeprowadzić z nim wywiad.

O losach Andrieja Babickiego nie będę opowiadać, bo wiecie Państwo, że został porwany i przewieziony do obozu koncentracyjnego. Spotykałam Czeczenów, którzy słyszeli, jak go bito. Potem go wypuszczono i miało to być ostrzeżenie dla wszystkich dziennikarzy, którzy pójdą drogą Babickiego, czyli będą się upierać przy przekazywaniu prawdy z Groznego. Muszę jeszcze wspomnieć o Szcziekoczichinie, sztandarowym dziennikarzu, dziennikarzu bez skazy, od lat działającym na rzecz prawdy i wolności w Rosji, który zajmował się nie tylko wydarzeniami w Czeczenii, ale także sprawami korupcji na najwyższych szczeblach władzy. Szcziekoczichina otruto radioaktywnym talem, umierał w straszliwych mękach, skóra schodziła z niego płatami. Umierał w kremłowskiej klinice, a żadne wyniki przeprowadzonych badań (tak samo jak w przypadku Politkowskiej) nie zostały przekazane rodzinie. Pozostały tajemnicą państwa rosyjskiego po dziś dzień.

Tak wygląda mówienie prawdy i wolność słowa w Rosji. Tam trudno mówić o jakiegokolwiek wolności słowa. Ja pytam o granice zakazywania czy odbierania wolności słowa. „Novaya Gazeta” ma raptem 125 tysięcy nakładu, jest rozchwytywana w Moskwie, w Petersburgu. Dociera tu i ówdzie, widziałam ją w Nazranii w Inguszetii. Ale reszta Rosji nie ma pojęcia, że taka gazeta wychodzi i że istnieje Anna Politowska, oraz że jest inna prawda niż ta, którą serwuje się z ekranów telewizji rosyjskiej.

Analiza faktów jest beznadziejna. Wszędzie, w każdej oficjalnej „prawdzie” musimy spodziewać się ogromnej ilości manipulacji i fałszu, wszędzie są znaczone karty. Uczciwy dziennikarz często jest posądzany o to, że ma spiskowego fioła, że wszędzie widzi służby specjalne Rosji. Ja także wielokrotnie spotkałam się z tym zarzutem i, prawdę powiedziawszy, opadają mi ręce.

Ruslan Łabazanow, którego istnienie w FSB na Łubiance zostało udowodnione i potwierdzone przez byłych funkcjonariuszy FSB, którzy uciekli na Zachód, ten sam Ruslan Łabazanow podobno jest inicjatorem antydudajewskiej opozycji. Doprowadza do wybuchu pierwszej wojny w Czeczenii, jest inicjatorem wysadzenia domów, autobusów i odpowiada za akcję w moskiewskim metrze. Wszędzie widzimy tego Rusłana Łabazanowa, który oczywiście skończył śmiercią tragiczną. Zginął otruty na Cyprze.

Cała sprawa terroryzmu wygląda następująco: społeczeństwu rosyjskiemu zostaje zaprezentowany terrorysta i towarzyszy temu np. taki komentarz: „oto złapaliśmy terrorystę winnego wysadzenia pociągu elektrycznego w 1999 roku; zginęli studenci jadący na zajęcia, ludzie jadący do pracy”. Tak się złożyło, że byłam świadkiem tej sytuacji trzy tygodnie wcześniej. Byłam w Inguszetii, gdy aresztowano człowieka, kiedy jechał gdzieś z żoną i dzieckiem. Jako podejrzany o uczestnictwo w ruchu oporu, o to, że jest partyzantem, został osadzony w więzieniu rosyjskim. Po czym, już po wysadzeniu pociągu, ukazuje się na ekranach tenże człowiek, potwornie skatowany, jako autor tego aktu terrorystycznego. Aktu, którego dokonać nie mógł, ponieważ był zamknięty. Kto o tym wie? Kto wie o tym, że bojownicy, którzy zostają ukazani jako terroryści, są wcześniej pojmanymi i potwornie skatowanymi ludźmi wyciągniętymi z więzień? Nikt o tym nie wie, lub mało kto. Cała Rosja jest przekonana, że prawda wygląda tak, jak mówią media.

Potworne akty terrorystyczne – spektakl „Nord-Ost” w teatrze na Dubrowce, tragedia w Biesłanie. Za pierwszym i za drugim razem przyznaje się Szamil Basajew. Wszyscy zadajemy sobie pytanie, dlaczego on to robi, do jakiego stopnia jest

to akcja czysto czeczeńska, do jakiego stopnia są to działania sił specjalnych Rosji. Kiedy zapytałam Zakajewa, byłego premiera rządu czeczeńskiego o to, jak traktować Basajewa, odpowiedział: „to wielki patriota”. Nic więcej. Zakajewowi wierzyłam zawsze i wierzę do dziś.

Za każdym razem na wieść, że partyzanci czeczeńscy chcą coś zrobić, znajduje się ktoś, kto „podaje” im rękę. Wygląda to tak, jakby obie strony grały na boisku w gruncie rzeczy przeciwko sobie, tyle że wygranym jest każdy. Czeczeni wygrywają, bo ich głos zostaje usłyszany w świecie i wygrywa propaganda rosyjska, która mówi: „Jakże możemy usiąść do stołu z takimi terrorystami”.

Chciałam jeszcze raz potwierdzić udział rosyjskich służb specjalnych w aktach terrorystycznych. W pierwszym, dotyczącym spektaklu „Nord-Ost”, z miejsca wydarzenia ucieka dwóch ludzi: Terkibajew oraz Abaubakar. Obaj są agentami służb specjalnych, co potwierdzają funkcjonariusze SB. Terkibajewa zabito w lutym tego roku, zginął w wypadku. On sam nie ukrywał tego, że przyczynił się do zamachu terrorystycznego podczas spektaklu „Nord-Ost”. Tak samo było w przypadku Biełłanu – są terroryści, którym udało się uciec.

Jak to się dzieje, że niektórym terrorystom udaje się uciec? Dlaczego wszystkich terrorystów, oprócz tych dwóch, uspioło przy akcji w teatrze? Dlaczego nie dopuszcza się do jawnych i oficjalnych rozpraw? Dlaczego wszystkie rozprawy dotyczące terrorystów czeczeńskich toczą się za drutami kolczastymi? Dlaczego książka dotycząca tegoż terroru zostaje aresztowana zaraz po przekroczeniu granicy rosyjskiej? Dlaczego żaden z filmów dotyczący terroru, niosący w sobie jakąkolwiek prawdę, nie jest emitowany przez telewizję rosyjską? Mało tego, każda próba pokazania tego terroru kończy się pobiciem, albo, jak miało to miejsce w Petersburgu, zabiciem człowieka, członka partii „Jabłoko”, który przyczynił się emisji programu?

W Rosji i Czeczenii my, dziennikarze, jesteśmy śledczymi, a nie adwokatami Czeczenów. Jesteśmy śledczymi faktów i walczymy o prawo do przekazu naszych dokumentów. Nie chcemy relacjonować zamachów terrorystycznych, ale jak słyszałam niejednokrotnie, Czeczenia to nie temat, to może dramat, ale to już nie temat.

Dariusz Bohatkiewicz

Przez ostatnie pięć miesięcy byłem w kraju, który nazywa się Irak. Kilka dni temu wróciłem, wraz z dwoma kolegami ośrodka TVP w Krakowie.

Te pięć miesięcy podzielone były na dwa okresy: styczeń, luty, marzec oraz sierpień i wrzesień. Były to dwa zupełnie odmienne doświadczenia, poznałem jakby

dwa odmienne Iraki. Pierwszy wyjazd to prawdziwa stabilizacja polegająca na tym, że jeździliśmy praktycznie po całym kraju, że nalepka PRESS otwierała praktycznie każde drzwi. Nie tylko do zielonej strefy, nie tylko do strefy polskiej i amerykańskiej, ale i innych, w tym do wszystkich baz wojskowych. Dzięki tej nalepce PRESS, jako jedna z nielicznych telewizji zachodnich dostaliśmy się do wnętrza meczetu Imam al-Hussein, gdzie mogliśmy pokazać drugą stronę konfliktu. Wtedy, Muktaad al-Sadr, dwudziestoosiemnastoletni mężczyzna, który nigdy nie skończył szkoły koranicznej, starał się stworzyć z siebie wielkiego teologa i głodował w Nadzafie.

My, dziennikarze, mogliśmy poznać praktycznie wszystkie za i przeciw Operation Iraqi Freedom i mogliśmy przekazywać praktycznie wszystko. Nie było żadnych nacisków ze strony wojska. Może dlatego, że trafiliśmy na świętego dowódcę, generała Mieczysława Bieńka, który jako jeden z niewielu rozumie, że tam, gdzie jest wojsko, że tam, gdzie coś się dzieje, gdzie są działania wojenne, powinna być również kamera. Mieliśmy dostęp do wszystkiego i wtedy mogliśmy mówić o niezależnym dziennikarstwie, o pokazywaniu dwóch stron tego konfliktu. Mogliśmy mówić bez żadnego problemu o tym, że jeśli zginął polski żołnierz, to nie zawsze zginął w warunkach bojowych. Mógł zginąć w wypadku drogowym. Mogliśmy pokazywać więzienia, a w przypadku wojska polskiego, pokoje i izby zatrzymanych, gdzie przebywali terroryści. Mogliśmy wchodzić do domów przeciętnych Irakijczyków, pokazywać jak żyją, z jakimi problemami oni się stykają. Spotykaliśmy się także z dziennikarzami nowych mediów irackich. Mogliśmy mówić także o terroryzmie.

Dochodziliśmy do miejsc, gdzie terroryzm praktycznie się rodził. Proszę sobie wyobrazić, że do budynku (odpowiadającego naszemu urzędowi miasta), gdzie są zasieki, gdzie na straży stoi iracka gwardia narodowa i policja, którego pilnują żołnierze amerykańscy, polscy i lotewscy, nagle nie wiadomo jakim sposobem wchodzi płaczący mężczyzna. Jest obwieszony kilkunastoma kilogramami materiału wybuchowego. Zbliży się do naszych żołnierzy i prosi: „Ja nie chcę ginąć, wy mi pomóżcie”. Reakcja była taka, że go rozbrojono, przerzucono do Bagdadu i jeszcze wyjaśniono, jak do nas trafił. Powiedział, że do jego domu przyszło dwóch nieznanym mężczyznom. Ktoś położył 5 000 dolarów i powiedział, cytując: „Jeżeli nie rozwalisz City Hallu, to zginie twoja najbliższa rodzina”, czyli w przypadku Irakijczyków 20-30 osób.

Spotykaliśmy się z mediami irackimi także w kontrowersyjnych sytuacjach. Na przykład po słynnym ataku na bazę al-Hilli, kiedy to dwóch terrorystów samobój-

ców starało się wdrzeć samochodami wypełnionymi materiałami wybuchowymi i doszło do eksplozji, ale, na szczęście, nikt wtedy nie zginął. Wówczas nowa iracka Telewizja Babilon była święcie przekonana i przedstawiała dowody na to, że tego ataku dokonali Amerykanie, że ktoś gdzieś widział amerykański śmigłowiec, który rakieta uderzył w bazę. Później pytaliśmy ich, skąd mieli takie informacje i odpowiadali, że tak mówiono w meczetach.

Mimo wszystko był to bardzo przyjemny okres, kiedy można było jeździć po całym Iraku, przedstawiać różne strony konfliktu, szyitów, sunnitów, praktycznie wszystkich.

Natomiast drugi wyjazd, to wyjazd na prawdziwą wojnę. Kilka dni po naszym powrocie do Iraku, rozpoczęło się drugie powstanie al-Sadra. Nie mogliśmy już jeździć, z wiadomych względów, między innymi do Nadżafu i pokazać drugą stronę wydarzeń. Byliśmy praktycznie zamknięci w bazie, dla własnego bezpieczeństwa. W ciągu dwóch miesięcy udało mi się siedemnaście razy wyjechać poza bazę, na patrol z żołnierzami, czy też samemu. Dla Państwa to nic nie znaczy, a nam udało się tego dokonać. Widzieliśmy całe okropieństwo wojny. Wiadomo, że w tym przypadku trudno mówić o niezależności, czyli pokazywaniu dwóch stron konfliktu, nie ma takiej możliwości. Tam odbywało się nie tylko polowanie na dziennikarzy, czego przykładem są nasi koledzy z TVP, Waldek Milewicz i Mundi, ale i na zakładników, a nikt z nas nie chciał być pokazany w telewizji z szabelką nad głową. Skończyły się rozmowy z ludźmi. Pamiętam, jak dojechalśmy do Karbali prywatnym samochodem i ci sami ludzie, którzy kilka miesięcy wcześniej zapraszali nas do środka, zapraszali nas na herbatę, mogliśmy swobodnie o wszystkim porozmawiać, już nas nie znali. Byliśmy traktowani jako wrogowie, okupanci, niebezpieczni, zagrażający ich życiu.

Dzisiaj mówimy wiele o wolności słowa. W moim przypadku, i w przypadku moich nieobecnych kolegów z innych stacji: Maćka Borocho z TVN, Tomka Saje-wicza z Polskiego Radia, wolność słowa kończyła się, gdy wchodziło w grę bezpieczeństwo innych ludzi: żołnierzy, cywili, Polaków, przedstawicieli innych narodów wchodzących w skład koalicji antyterrorystycznej. Nie było jakiś specjalnych nacisków na nas, choć wiadomo, że każdy ma różne oczekiwania od dziennikarzy relacjonujących konflikt. Inne ma portal, inne – biuro prasowe wielonarodowej dywizji, jeszcze inne – polskie Ministerstwo Obrony Narodowej, inne – rodziny żołnierzy przebywających w Iraku, a jeszcze inne – przeciwnicy pobytu wojska polskiego

w tym kraju. Staraliśmy się to wszystko wypośrodkować i przekazywać to, co widzimy, prawdę, jaka tam była.

Wiadomo było, że otrzymamy wielkie gromy za to, że w dniu rozpoczęcia olimpiady, kiedy w „Wiadomościach” cały blok programowy był przygotowany, by pokazać relację z olimpiady, weszliśmy na wizję z informacją, że w tej chwili dwudziestu jeden Polaków jest okupowanych w komendzie policji w al-Hilli. Informacja ta oczywiście wywołała burzę. A my się chcieliśmy dowiedzieć od dowódcy wielonarodowej dywizji, kiedy ci ludzie otrzymają posiłki, czyli dodatkowy sprzęt, amunicję itd. Sprawa wyglądała tak, że od godziny 14.00 do 1.00 w nocy, dwudziestu jeden naszych żołnierzy razem z dwudziestoma żołnierzami irackiej Gwardii Narodowej broniło się przed atakiem około trzystu osób, i nie wiedzieliśmy, kiedy ci żołnierze dostaną pomoc. I oczywiście wybuchła z tego straszna burza, że my straszmy polskie społeczeństwo, że prowadzimy do sensacji.

Staraliśmy się nie eskalować zagrożenia. Nie podawaliśmy, że Baza Babilon była ostrzelana celnie z moździerzy, że pocisk raketowy wybuchł kilometr od nas.

Z jednej strony, zdajemy sobie sprawę z wykonywanego przez nas zawodu, a z drugiej – była też jakaś odpowiedzialność za ludzi, którzy przebywają tutaj, w kraju. Mieliśmy kontakt z rodzinami naszych żołnierzy i wiedzieliśmy, jak to wszystko wygląda, i że każda informacja o tym, że gdzieś tam w okolicy bazy spadła rakietka powoduje, iż kilkadziesiąt tysięcy osób w kraju przerywa swoje codzienne zajęcia i słucha radia, ogląda telewizję i chce się dowiedzieć, co się dzieje. Ale, niestety, z dziennikarzem jest tak, że on nie potrafi poinformować, kto został ranny, w jakim terenie. Niestety, taka jest prawda. Wiadomo, że są rzeczy święte, i kiedy zginą polscy żołnierze, czy zginą żołnierze koalicji, nie podajemy ich nazwisk zanim MON nie poinformuje ich rodzin w kraju. No, ale jeśli to poinformowanie trwa sześć godzin, to co? – pytam retorycznie.

Przepraszam za chaos mojej wypowiedzi, ale jestem jeszcze cały w emocjach po tym wszystkim. Przebywanie przez dwa i pół miesiąca w bazie z żołnierzami w jakiś sposób zaciera niezależność, to spojrzenie osoby stojącej z boku. Ale, z drugiej strony, proszę sobie wyobrazić, jak ciężko jest pozostać osobą niezależną, jeśli spotykamy się z daną osobą codziennie, przez trzy tygodnie ten człowiek jeździ ze mną na honkerze, rozmawia ze mną, mieszka ulicę dalej ode mnie w Krakowie, i ten dwudziestodwuletni człowiek przekazuje mi paczkę dla swojej mamy i mówi: jak wrócimy, pójdziemy razem na mecz „Wisły”, czy spotkamy się przy piwie lub kawie, a dzień później ten chłopak ginie.

Wspomniałem wcześniej o oczekiwaniach. Każdy ma inne. Nikt z Polaków nie spodziewał się, że będziemy uczestniczyć w regularnej wojnie, to miała być misja stabilizacyjna. A w tej chwili każdy, łącznie z Prezydentem Kwaśniewskim czy Ministrem Obrony Narodowej wie, że po raz pierwszy od czasu zakończenia drugiej wojny światowej nasz kraj uczestniczy w działaniach militarnych, które są rzeczywistością wojną. Bardzo ciężko jest przekazywać informacje w takiej sytuacji. Z jednej strony chcemy pokazać, jak wygląda pobyt naszych żołnierzy, jak wygląda współpraca z cywilami i nawet jeśli organizuje się otwarcie szkoły w małej miejscowości pod Karbalą, jedziemy tam razem z generałem polskim i z generałem ukraińskim, witamy się z dziećmi i ich nauczycielami, wiedząc, że jest to częściowo „na pokaz” (szkoła ta została wyremontowana za 300 tys. dolarów, które zapłaciły Stany Zjednoczone). I, proszę sobie wyobrazić, że na dachach stoi około trzydziestu snajperów w każdej chwili gotowych do wystrzału. A sytuacja jest rzeczywiście trudna – z jednej strony rozpoczęcie roku szkolnego i dzieci, a z drugiej karabiny, granaty, wozy bojowe – tak w tej chwili wygląda pomoc. Wszystko nie po to, by zorganizować pokaz siły wobec tych dzieciaków, tych ludzi, mieszkańców tej miejscowości, tylko dlatego, że chwilę wcześniej doszło tam do ataku morderczego – właśnie na tę szkołę.

Z takimi sytuacjami spotykamy się tam codziennie, dlatego ja jeszcze raz powrócę do tego mojego zdania, że dla mnie w tym przypadku, w przypadku Iraku, wolność słowa kończy się na wzięciu odpowiedzialności za to, co się tam dzieje.

Marcin Mamoń

Żyjemy w świecie, o którym wiemy coraz mniej i będziemy wiedzieć jeszcze mniej. Mówię oczywiście o kontekście konfliktów i kontekście konfliktu cywilizacji – bez względu na to, jaką definicję przyjmujemy, aby określić to, co się dzieje na styku naszej cywilizacji i islamu, wschodu i zachodu, biednych i bogatych.

Od wielu już lat, jeżdżąc i spotykając się z różnymi ludźmi, którzy walczą w imię jakiejś idei, czy to o wolność, czy to o religię, czy o różne bardzo ważne dla nich, a dla nas niezrozumiałe sprawy, odnoszę wrażenie, iż ścigam się z kimś, kto po kolei ich likwiduje. To dotyczyło komendantów czeczeńskich, polityków w Iraku i w Afganistanie. Spotykam się z kimś, a za chwilę dowiaduję się, że nie żyje. Często łapię się na tym, że kręcę bardzo podobne zdjęcia, w podobnym kontekście, czy w podobnym planie zdjęciowym. Za chwilę spotykam się z następną osobą i cały czas mam wrażenie, że to spotkanie jest ostatnie. Dlaczego mam takie wrażenie? Czy dlatego, że nie dowiemy się niczego więcej o tym świecie, ponieważ ten świat

nie chce nas o niczym więcej informować? Czy też dlatego, że ten świat dla ludzi Afganistanu, Iraku, czy Czeczenii jest cywilizacją śmierci?

Tak naprawdę ostatnią otwartą osobą, z którą rozmawiałem, która była dla mnie szansą poznania prawdy o świecie terroru i świecie walki z Rosją, z Zachodem był Kadijew, były prezydent Czeczenii, z którym widziałem się pod koniec stycznia tego roku. Dwa tygodnie później zginął w zamachu, jadąc w samochodzie na modlitwę. Powiem szczerze, że to była ostatnia osoba, która szczerze ze mną rozmawiała, która była otwarta i być może za tę otwartość, za to, że mogła się spotykać z dziennikarzami, bo przecież ja nie byłem jedynym, który się spotykał, za to zapłaciła najwyższą cenę.

W Iraku spotkałem się z al-Hatimem. Już nie żyje. Giną ludzie, którzy są otwarci i chcą rozmawiać. Więc konsekwencja może być następująca, że informacje w mediach będą kompletnie nieprawdziwe, bardziej wymyślane niż przekazywane, staną się bardziej wnioskami, niż tak naprawdę przekazywaniem faktów.

Wydawało mi się, że najbliżej prawdy byłem około dwa miesiące temu. Działo się to wszystko na terenie wolnych plemion pomiędzy Afganistanem a Pakistanem, na terenie, o którym zarówno miejscowi, jak i zachodni dziennikarze piszą, że tam się ukrywa terrorysta numer jeden, czyli Bin Laden, czy że tam mieszka przywódca talibów. Dnem doliny przebiega granica, umowna granica między Pakistanem a Afganistanem. Na jednym zboczach jest jedna nieduża amerykańska baza marines, 150 żołnierzy, łączność tylko i wyłącznie helikopterami, bo inaczej, by tam dotrzeć, trzeba przejechać dość spory kawałek, po podobno niebezpiecznych terenach. Na dole przebiega granica, a na drugim wzgórzu siedzą oddziały al-Kaidy. Całość wygląda tak, że jednego dnia Amerykanie ostrzeliwują drugą stronę zbocza z helikopterów lub z samolotów, a innego dnia żołnierze, czy bojownicy al-Kaidy strzelają w bazę amerykańską, i tak to trwa miesiącami.

A pomiędzy tym wszystkim, na dnie doliny, siedzicie sobie Państwo z miejscowymi Wazirami, członkami plemienia, pijecie zieloną herbatę, rozmawiacie o tym, jakie życie jest ciężkie.

Dotarłem tam dzięki Czeczeńcowi, choć wszyscy w Afganistanie powtarzają za mediami, że al-Kaida to Czeczeńcy i Uzbecy. Był to człowiek, który onegdaj spotykał się z talibami i któremu mogę tylko zaufać, bo prawdy tak do końca nie da się poznać. Twierdził, że wszyscy Czeczeńcy, którzy walczyli w al-Kaidzie w Afganistanie, przeszli przez jego ręce, i że było ich sześciu, z czego czterech w tej chwili nie żyje.

Chciałem na koniec wspomnieć o jeszcze jednym micie: kiedy jeździmy do Czeczenii, dowiadujemy się, że w Afganistanie walczą Arabowie; kiedy jadę do Afganistanu dowiaduję się, czy to z gazet, czy wprost od ludzi, że al-Kaida to Uzbeki i Czeczeńcy; a kiedy jadę do Iraku, to dowiaduję się, że z Amerykanami walczą mniej lub bardziej prawdziwy Zarkawi.

I powiem Państwu, że gdyby tak było, to by tych wojen po prostu nie było.

Krystyna Kurczab-Redlich

Chciałam dodać tylko jedno zdanie do tego, co powiedział kolega. Dwa lata temu Czeczeńcy chcieli z nami rozmawiać, bo nam ufali i wierzyli, że coś dla nich zrobimy. W tej chwili nie chcą z nami rozmawiać, ponieważ twierdzą: „Niczego dla nas nie zrobiliście, świat się od nas odwrócił, tylko karmicie się naszą krwią”, a na dodatek podejrzewają nas o to, że po prostu robimy na tym pieniądze.

Adam Szostkiewicz

Mówię z perspektywy reporterów, a więc kogoś, kto jest zaangażowany w obserwowanie jednego tylko konkretnego konfliktu. Spróbuję spojrzeć na to z innej strony, gdyż ja mam też takie swoje „ulubione miejsce”, które jako dziennikarz obserwuję od lat, i jest nim konflikt izraelsko-palestyński.

Chcę przedstawić kilka tez. Pierwsza teza jest może dość przewrotna, ale jeśli potraktować poważnie hasło naszego spotkania: „Co media mogą zrobić dla odbudowy pokoju w społeczeństwach po konflikcie?”, to ja bym powiedział, że nic. To nie jest rola mediów i wiele z nieporozumień związanych z tym problem wynika z tego, że jest dość powszechne oczekiwanie, że media mają taką rolę pełnić. W filmie pt. „Ziemia niczyja”, który opowiadał o tym tragicznym konflikcie bałkańskim, bośniackim, jest taka scena, w której jeden z bohaterów tubylców, tak to nazwijmy, patrząc na ekipę zagranicznej telewizji, rzuca w ich stronę takie zdanie: „No i co teraz będziecie, sępy, filmować?”

Żeby z sensem mówić o granicach wolności słowa i roli mediów w społeczeństwach po konflikcie, a zwłaszcza w trakcie konfliktu, trzeba powiedzieć jedną bardzo gorzką prawdę – nikt nie chce prawdy. Strony konfliktu nie chcą prawdy. Strony konfliktu, jeśli czegoś chcą, to tego, żeby ich prawda przebiła się do świadomości publicznej, między innymi za pomocą mediów. Jeśli czują, że tak się nie dzieje, to w sposób naturalny, emocjonalny i instynktowny, co jest psychologicznie wy tłumaczalne, ale nie służy nam dziennikarzom, przeradza się ich postawa w agresję, w nieufność, w niechęć. Podczas moich wizyt w Izraelu starałem się rozmawiać wiele razy z Izraelczykami i z Palestyńczykami. Dużo większa gotowość do

rozmowy o konflikcie była po stronie izraelskiej niż palestyńskiej. Gdy pytałem Palestyńczyków: „No dobrze, ale gdyby była taka okazja, gdyby was zaprosili do studia na dyskusję o tym, co można zrobić dla pokoju, poszlibyście?”, odpowiadali: „Jak to? Do nich?”

Jeśli oni sami nie chcą pójść i rozmawiać, więc to miejsce musi ktoś zająć. I zajmują je przedstawiciele (w uproszczeniu) lewicy izraelskiej, która próbuje brać pod uwagę racje Palestyńczyków w tym konflikcie. To dobrze, ale to nie są Palestyńczycy. A Palestyńczycy nie pójdą, bo boją się, że zostaną oskarżeni o kolaborację, tylko dlatego, że wzięli udział w dyskusyjnym programie izraelskim, albo gorzej, że powiedzą coś nie tak i spotka ich jakiś inny rodzaj kary, co jest, niestety, w społeczeństwie palestyńskim na porządku dziennym.

Był taki okres tego konfliktu, kiedy działała tylko telewizja izraelska, a o palestyńskiej nigdzie nie słyszałem. W okresie między intifadami urzędowała takie spotkania, tam rzeczywiście Palestyńczycy wtedy się pojawiali. Kiedy konflikt przerodził się w fazę gorącą, tak jak teraz, kiedy mamy tak zwaną drugą Intifadę, te kontakty się urwały.

Kolejna moja teza brzmi: nie jest rolą mediów budowanie pokoju. To zajęcie dla polityków, dla społeczeństwa obywatelskiego; to kwestia organizacji tego społeczeństwa, w tym kościołów, związków wyznaniowych, itd. – nie mediów.

Prawdy o konflikcie nikt nie chce. Pamiętajmy także, że w sytuacji otwartego, gorącego konfliktu, w którym media stają się częścią szerszej całości, podlegają one pewnym rygorom prawnym. Na przykład, media publiczne w Polsce, gdyby wybuchła wojna i zaatakowana zostałyby strona polska, przechodzą na zupełnie inny tryb działania, dlatego, że taki jest system polityczny, w jakim działamy. To jest zrozumiałe – media stają się stroną konfliktu. W takiej sytuacji trudno sobie wyobrazić, aby w pierwszych dniach września 1939 roku polska prasa drukowała obszernie analizy dojścia Hitlera do władzy, co się stało, jak się stało i dlaczego, itd. W warunkach frontowych rola mediów jest zupełnie inna. One muszą po prostu służyć celowi zasadniczemu, czyli walce z wrogiem.

Zbliżając się ku końcowi, jeśli mamy pytać o granice wolności słowa w sytuacji konfliktu, to trzeba wyliczyć minimum cztery zasadnicze powody, które sprawiają, że ta granica jest płynna i chwiejna. Albo inaczej, że te granice po prostu wyznaczają:

1. Natura konfliktu – zupełnie inaczej relacjonuje się konflikt, kiedy się jest Irackijczykiem zaangażowanym w konflikt we własnym kraju, a inaczej kiedy się

jest czymś w rodzaju talerza UFO, który nagle ląduje gdzieś, nie wiadomo skąd na terenie objętym konfliktem. To zwykle jest rolą dziennikarzy zagranicznych, mediów zagranicznych, kiedy przyjeżdżają ni stąd ni zowąd, zwykle nic nie wiedząc. Powiedzmy uczciwie, żeby nie mitologizować tej naszej roli, bo jesteśmy zwykle niedouczeni i niewiele wiemy o konflikcie, który nagle każą nam relacjonować. I lądujemy jak to UFO, nic nie wiedząc i mamy zrobić przekaz obiektywny z tego konfliktu. W tym sensie ja rozumiem to brutalne pytanie z filmu „Ziemia niczyja” – co teraz, sępy, będziecie filmować? Oni to czują, że my nic nie wiemy, a będziemy udowadniać, że wiemy, a miliony ludzi (mówię o mediach elektronicznych) będą traktować to jako prawdę o konflikcie. Nie ma żadnej prawdy o konflikcie.

2. Drugi element, który te granicę w mediach wytycza, to natura mediów. Każdy, kto pracował w telewizji, w radio, w prasie wie, jak duże są różnice i jak duże są także ograniczenia czasowe. Jeśli ktoś ma zrobić materiał trzyminutowy o czymś tak emocjonalnym i skomplikowanym, jak konflikt, i to otwarty konflikt, nie może tego zrobić inaczej, jak przy pomocy najgrubszych uproszczeń, a najchętniej się to upraszcza w taki czarno-biały sposób, że jest dobra i zła strona konfliktu.

Rozmawiałem niedawno z obecnym prezydentem Iraku i zapytałem go, jak on widzi sprawę przekazywania sytuacji w Iraku przez światowe media. Wszyscy wiedzą, że jesteśmy codziennie bombardowani obrazami z Basry, Bagdadu itd. Wszyscy wiedzą, że są to zawsze te same obrazy, kolejny wybuch, kolejna masakra, kolejna porcja emocji i wrażenie, że nikt nad niczym nie panuje, i że spirala nonsensu się rozkręca. Prezydent oczywiście jest urzędnikiem państwowym, patrzy na sprawy inaczej niż my dziennikarze, warto jednak pamiętać jego odpowiedź: „Ja jestem bardzo niezadowolony. Czuję, że część mediów światowych czerpie satysfakcję z tego, że znowu się nie udało, że znowu jest następny wybuch, że znowu jest następna masakra w kolejce przed punktem rekrutacji do gwardii narodowej czy do armii irackiej”. I dodaje: „Nigdy nie widzę relacji takich, w których pokazują Bagdad, w którym codziennie zawiera się parę tysięcy ślubów, w którym codziennie rodzi się 10 tysięcy dzieci”. Wtedy bronimy się i mówimy: „No, gdybyśmy takie obrazy zaczęli pokazywać z Iraku, to by nam zarzucono absolutne wypaczenie rzeczywistości i właśnie to, że jesteśmy psami propagandowymi Busha, Blaira czy Kwaśniewskiego, czy Marka Belki”. To są realia naszej pracy, więc – po drugie – natura medium

wyznacza technicznie granice wolności wypowiedzi, a przynajmniej ogranicza prawdę, którą chcemy pokazać w sposób dosyć czasem bolesny.

3. Trzeci element, wyznaczający granice wolności słowa, jest zwyczajnie kombinacją zupełnie przypadkowych czynników w miejscu, z którego chcemy przekazać relację dotyczącą konfliktu. Dziennikarz nie zdążył, zaspał, gość umówiony nie przyjechał, trasa przejazdu została zmieniona, coś się technicznie posypało, zgubił albo mu ukradli notes czy telefon komórkowy, w którym są odpowiednio ważne numery telefonów. I zamiast koncepcji, jak ten materiał zrobić, to się wszystko rozsypuje i wobec tego łapie się mniej lub bardziej przypadkowego człowieka jako bohatera, człowieka, który ma wyrażać jakąś opinię, pokazywać reakcję publiczności. Ta przypadkowa kombinacja jest bardzo nieromantyczna, ale mówię o tym, żeby pokazać, że mało prawdy jest w tym, o co się podejrzewa media, o jakieś spiski z góry, o jakieś ustalone zasady relacjonowania konfliktu, itd. Element przypadku jest bardzo istotnym elementem ograniczającym i prawdę, i wolność.
4. Ostatni element, co należy uczciwie powiedzieć, to interes ekonomiczny czy polityczny konkretnego medium. Nie kryjmy tego, to też występuje. Media, najogólniej rzecz ujmując – tu wróć do najlepiej mi znanego Bliskiego Wschodu, media muzułmańskie, a zwłaszcza arabskie, syryjskie, libańskie, jordańskie, egipskie przedstawiają konflikt na Bliskim Wschodzie oczywiście inaczej niż media zachodnie. Oni mają nie tylko inny sposób percepcji, co wynika z sytuacji kulturowej itd., ale mają też inny interes polityczny, interes ekonomiczny. Tu, niestety, po raz trzeci wracam do tego pytania: „Co wy tam, sępy, będziecie dzisiaj filmować?” W końcu jesteśmy sępami, bywamy sępami, my dziennikarze, reporterzy. Ustawiamy się tak, żeby było jak najwięcej dramatu w tle. Bywają jednak przypadki znane w branży ludzi, dziennikarzy, reporterów aranżujących sytuacje, żeby było bardziej dramatycznie. Płacący przypadkowym ludziom, żeby strzelali po to, żeby było w kadrze, dzielny reporter nadaje, a tu nagle kule świstają. Te osoby są znane, wszystkim wiadomo, że tak robiły, że płacą po prostu.

No to przepraszam bardzo, ale o jakiej misji my wtedy rozmawiamy, o jakim budowaniu pokoju? Chodzi po prostu o to, żeby zrobić „newsa”, i żeby ten „news” napędził mojej stacji radiowej czy telewizyjnej lub mojej gazecie jak najwięcej odbiorców.

A w dalszej perspektywie, to wstyd, ale trzeba powiedzieć, że może w ten sposób zarobi się kiedyś na nagrodę, jako odważny wybitny korespondent itd., wówczas najlepiej by było, żebym jeszcze został ranny w czasie tej relacji!

Kończąc chciałem podkreślić, że nie dyskredytuję w ten sposób ani wysiłku podejmowanego przez media, ani wysiłku podejmowanego przez konkretnych reporterów; znam ich wielu, niektórzy są niezwykle dzielnymi, zaangażowanymi w dobry sposób ludźmi, którzy chcą znaleźć prawdę, którzy chcą prawdę przekazać. Ja tylko chciałem pokazać, jakie to jest strasznie trudne zadanie, jak nierealistyczne jest oczekiwanie, że tę prawdę da się szybko i w sposób pełny przekazać.

Kiedyś rozmawiałem z takim naprawdę porządnym korespondentem wojennym. To nie był Polak, to był Anglik. On w tym zawodzie przepracował wiele lat, był wszędzie, tzn. w Afryce, o której my w dalszym ciągu za mało dyskutujemy. Choćby dziś – my rozmawiamy tutaj, a ile tysięcy osób tam umrze dzisiaj z głodu? Albo wskutek innych tragicznych okoliczności? Co media mogły w tej sprawie zrobić? Jeździły, relacjonowały, dzięki temu ja teraz o tym wspominam, a drugiej strony te relacje w dramacie niczego nie zmieniają.

To jest tak jak mówię, nie – żebym się chciał od tej odpowiedzialności uchyłać, ale to jest rola polityków. Otóż z tym korespondentem zwyczajnie rozmawialiśmy i ja go w pewnym momencie zapytałem: „Tyle wiesz na temat, tyleś doświadczył i przeżył zawodowo, powiedz, czy jest jakaś puenta, jakaś lekcja moralna, która z tego wypływa dla zawodu?” On odpowiada: „Jeśli mnie czegoś te lata jako korespondenta wojennego nauczyły, to tego, że nie ma słusznych i niesłusznych trupów. Nie ma trupów lewicowych i prawicowych, są tylko trupy, jest śmierć. Niech śmierć się nazywa śmiercią, trup jest trupem”. A jak mam już mówić patetycznie, to powiedział jeszcze: „Jeśli już media muszą być po czyjejs stronie, jeśli mówimy o konfliktach, to niech one będą po stronie życia, nie po stronie śmierci, to jest wszystko, czego się nauczyłem przez tyle lat pracy w tym zawodzie”.

Katarzyna Kolenda-Zaleska

Adam Szostkiewicz przedstawił taki trochę pesymistyczny i cyniczny obraz mediów. Ja muszę powiedzieć, że nie do końca się zgadzam z tym obrazem. Jest jednak coś takiego, jak misja dziennikarza i odpowiedzialność za to, co się dzieje na świecie. Nie można ograniczyć tej pracy do tego, że dziennikarze czy korespondenci wojenni chcą tylko zdobywać nagrody i pokazywać coraz więcej trupów, mamy też odpowiedzialność za to, co się dzieje. Widziałam, że reakcje były bardzo, bardzo żywe. Zapraszam do dyskusji.

DYSKUSJA

Grzegorz Miecugow

Jestem poruszony tym, co powiedziała pani Pesic oraz Adam Szostkiewicz, z których tezami się zgadzam i pod oboma bym się podpisał. Zgadzam się ze zdaniem pani Pesic, że dziennikarstwo to szukanie faktów, a prawda się być może okaże, albo nie. Osobiście uważam, że rolą dziennikarza jest uchwycenie sedna sprawy. Dziennikarstwo jest sztuką odrzucania faktów mniej istotnych, a pozostawieniem tylko tych najistotniejszych, żeby wyrysować obrazek, który pokaże istotę zagadnienia. To się szalenie rzadko udaje. Czasami mija sześćdziesiąt lat i nie wiadomo, dlaczego zginął Sikorski. Pozostają tylko spekulacje i szukanie jakiejś prawdy.

Ale czasami, tak jak to było kilka lat temu, kiedy zaatakowano Kosowo, miałem wrażenie, że dziennikarze idą po strasznie krótkiej linii, po najkrótszej linii oporu. Wtedy, pamiętam, generalna wiedza Polaka była taka, że źli Serbowie mordują biednych Albańczyków. To oczywiście nie było sedno zagadnienia, lecz uproszczenie, o którym mówił Adam Szostkiewicz, zupełnie nieuprawnione. Zgodzimy się z tym, że dziennikarstwo to jest poszukiwanie sedna, odrzucanie faktów nieistotnych i pozostawienie najważniejszych.

Jeżeli zgodzimy się z tym, że świat nie jest biało-czarny, ale ma różne barwy, i że powinno się zauważać te różne barwy, to moja teza jest taka, że nie radzimy sobie z tym generalnie. Jestem pod wrażeniem Adama Szostkiewicza, mówiącego o swojej ulubionej tematyce wywiadów. On tam widzi wszystko, co trzeba, co mnie interesuje, ale to dotyczy procenta odbiorców. Jaki nakład ma „Polityka” – 300 tysięcy egzemplarzy? Ilu czytelników przeczyta ją uważnie, ilu interesuje się Bliskim Wschodem – 50-20 tysięcy? No to jest sama górka, sam margines. Nie radzimy sobie z tą wiedzą ogólną, ona jest najgorsza, najbardziej podatna na uproszczenia.

Wydaje mi się, że dziennikarstwo polskie dla takiego najszerzego odbiorcy, czyli w tych najbardziej skrótowych formach, o których mówił Adam – przesadzając, że to są trzy minuty, to są dwie minuty piętnaście w głównych dziennikach – nie radzi sobie z tymi dwoma minutami, żeby powiedzieć, jaka jest istota zagadnienia.

Dziennikarze nasi, mając tak niewiele czasu i przy marginalizowaniu poważnych środków przekazu, takich jak „Polityka”, czy TVP 2 (obecnie niszowa stacja telewizyjna), dziennikarze generalnie mówią ludziom to, co ludzie chcą usłyszeć: Rosjanin jest zły, Czeczeniec jest dobry, Albańczyk jest dobry, Serb jest zły. I takie kalki i stereotypy żyją najdłużej. Kto społeczeństwo tego nauczył – nikt. Co myślał obywatel drugiej RP w roku 1935, kiedy Hitler dochodził do władzy? Miał wiedzę

taką, że Niemiec jest zły, a Polak jest dobry i Polak ma prawo zająć Zaolzie. Wtedy nie było jeszcze telewizji. Tak żyje świadomość społeczeństwa. Dziennikarze dzisiaj powinni się skupić na tym, żeby starać się w tej najszerszej formie przekazu wstrzeliwać się w istotę rzeczy i z doświadczenia wiem, że to jest niemożliwe.

Krystyna Kurczab-Redlich

Cały dylemat, z jakim ja borykam się przy problemie czeczeńskim, to właśnie to, o czym Pan powiedział: Czeczeniec jest dobry, a Rosjanin zły. Nie ja jestem winna, że wszystkie fakty, które zbieram, świadczą na rzecz jednej strony. To druga strona jest winna, że wszystkie fakty, które ja zbieram, świadczą przeciwko niej. Ja nie jestem adwokatem Czeczenów. Ja jestem śledczym faktów, ja zbieram fakty i nie moją jest winą to, że świadczą one przeciwko jednej stronie, i że tą stroną jest strona kremłowska.

Ja nie mogę mówić jednocześnie o faktach politycznych i o uczuciach. Za każdym razem mam to samo uczucie do umierającego Czeczena, jak i do umierającego żołnierza rosyjskiego. Za każdym razem mówię też, że w ciągu tych lat wojny zginęło ponad 13 tysięcy żołnierzy rosyjskich, podczas kiedy w trakcie wojny afgańskiej trwającej dziewięć lat zginęło ich 15 tysięcy. Zawsze mówię o matkach żołnierzy rosyjskich, ale to nie jest prawda dotycząca polityków. Nie ja jestem winna, że politycy światowi odrzucają prawdę, którą niosą im dziennikarze. I nie ja jestem winna, że oni się zgadzają grać znacznymi kartami Kremla. Więc nie przyjmuję do siebie bardzo często skierowanego przeciwko mnie zarzutu antyrosyjskości. Ja tylko mogę świadczyć i zbierać fakty, zbierać je bardzo dokładnie, przedstawiać w gazetach, w różnych publikacjach, które, niestety, mają bardzo niewielki nakład.

Igor Melnik

Ja nie byłem uczestnikiem, ani nawet świadkiem żadnego konfliktu zbrojnego, ale chciałem dodać coś do tematu drugiej części naszego dzisiejszego spotkania, czyli odbudowy państwa.

Ukraina jest młodym państwem i obecnie trwa jego odbudowa. Trzydzieści lat temu z republiki związkowej Ukraina stała się niezależnym państwem. Wszystko to działo się na naszych oczach, a rola mediów była ogromnie ważna.

W marcu 1991 roku odbyło się referendum za odnowieniem byłego Związku Radzieckiego i mniej więcej 70% mieszkańców Ukrainy głosowało za tym, żeby pozostać w Związku Radzieckim. 1 grudnia tego samego roku też było referendum i już 90% mieszkańców opowiedziało się za niezależnością Ukrainy. Przez tych kilka miesięcy media wykonały tę właśnie pracę tak, żeby opinia publiczna była

odmieniona. W trakcie referendum tylko na zachodzie Ukrainy utrzymał się poprzedni wynik i 90% mieszkańców było za pozostaniem przy Związku Radzieckim. Cała reszta społeczeństwa pod wpływem mediów zmieniła zdanie.

Taka wielka przemiana opinii publicznej zaszła w pierwszej kolejności dzięki mediom i w dużej mierze także dzięki politykom. To stało się „grzechem pierworodnym” – wolne media na Ukrainie. Głównym elementem propagandy opinii publicznej było, że Moskwa nas okrada, że jak będzie wolna Ukraina, to wszystko będzie dobrze, będziemy mieszkać jak w Europie, jak w Ameryce. No i, jak to się mówi, młoda Ukraina wygrała wielką bitwę, choć przez dziesięciolecia wolne media utraciły autorytet i ich stopień wiarygodności był bardzo niski, jeden z najniższych w Europie. Mimo to cała sytuacja powoli się poprawia i miejmy nadzieję, że nie dojdzie do żadnego konfliktu. Zbrojnych konfliktów u nas raczej nie ma, ale fakt, że do siedziby naszej gazety został wrzucony koktajl Mołotowa i mieliśmy spore straty materialne, świadczy o tym, że na Ukrainie jest konflikt między wolnością a siłami postkomunistycznymi, czyli tzw. władzą oligarchów. Miejmy nadzieję, że ten konflikt nie rozwinie się w jakiś konflikt zbrojny.

Jeszcze krótka uwaga. Rozmawiamy tutaj dużo o wolności słowa. Byliśmy świadkami pewnych wydarzeń, które nie przez 2, 3 minuty, ale przez kilka godzin pokazywała telewizja. I to nie były tylko obrazy z 11 września, ale wcześniejszego wydarzenia w 1993 roku – ostrzeliwania jednego z budynków w Moskwie.

Dwa lata temu we Lwowie, podczas pokazów lotniczych, odrzutowiec spadł na płytę lotniska, gdzie wcześniej zgromadził się tłum kilku tysięcy widzów. W tej katastrofie zginęło 70 osób, kilkaset zostało rannych. To był ogromny szok dla miasta i dla całej Ukrainy. W tym przypadku zarzucono mediom, że pokazały za dużo tych drastycznych scen. Sądzę, że filmować należy wszystko, bo powstaje dokument, ale nie wszystko, co zostanie sfilmowane, należy pokazać na antenie.

Krzysztof Śliwiński

Wziąwszy w nawias wydarzenia z Ukrainy, wróćmy myślą raz jeszcze do tych najbardziej dramatycznych wydarzeń, o których dzisiaj tu wiele mówiliśmy. A przypomnieć chciałem zdanie, które Pani Ambasador Mji wczoraj wypowiedziała, jako straszliwy slogan, który w sytuacji konfliktu się powtarza – kto jest terrorystą, a kto jest bojownikiem.

Freedom fighters są z jednej strony, terroryzm z drugiej. Potem jest jeszcze diabelski wyalazek – przedłużenie definicji w taką stronę, że wielkiego Mandelę też nazywali terrorystą. Czyli każdy terrorysta może sądzić, że pozabijawszy w okrutny

sposób kobiety i dzieci, z pewnego punktu widzenia jest wielkim Mandelą, jeśli tylko jego polityczna racja jest słuszna.

Otóż jest to ideologia demoniczna, to nie tylko usprawiedliwienie popełnionych zbrodni, ale zachęta do następnych. No, bo po co nam jakakolwiek moralność, skoro wszystko zależy od punktu widzenia. Może być terrorystą *freedom fighter*.

Chciałem zaproponować nieformalnie, że są pewne reguły postępowania. Połakom tu obecnym przypomnę dylemat podziemia: w czasie wojny Armia Krajowa nie zabijała kobiet i dzieci, a komunistyczna Armia Ludowa rzuciła bombę w Café Klubie. O AK mówiło się, że stoi z bronią u nogi, ale AK starała się przynajmniej prowadzić walkę zbrojną i starała się, żeby choćby po fakcie zostać uznaną za formację zbrojną, ponieważ wojskowi rządzą według pewnych reguł gry i pewnych rzeczy się nie robi. Nie mówię, żeby wszystkich, którzy popchnięci bezradnością dokonali zbrodni zabicia kobiet i dzieci, żeby później po zakończeniu konfliktu łapać i wieszać, ale aby był pewien rodzaj moralnego potępienia dla tego, kto ma niewinną krew na rękach. Tacy ludzie nie mogą później pretendować do tytułu bojowników o wolność w słusznej sprawie i być doskonale przyjmowanymi jako ministrowie czy prezydenci, „na prawach Nelsona Mandeli” dlatego, że w słusznej sprawie popełnili rzeczy okropne.

Jeśli chodzi zaś o lekcję sprawiedliwości wyciąganej *post factum*, to jest to dobrze pokazane w utworze literackim „Komisja” na temat Komisji Prawdy i Pojednania. Prawdziwym zbrodniarzem, tzn. afrykanerskim pułkownikiem, którzy montowali zamachy i zabijali ludzi, jeśli się przyznają, można wybaczyć według reguł tej Komisji. Ale jeśli kolaborant, drobny czarny policjant, uczestniczył w tych działaniach, to dostanie trzy lata, dlatego że ukradł zegarek, czy wziął portfel. Łaski przebaczenia według Komisji mogą dostąpić tylko ci, którzy nie czerpali z tego żadnych korzyści materialnych. Tak było też po zakończeniu wojny algierskiej, jeśli sobie Państwo przypomną los choćby listonoszy, którzy wówczas poniekąd kolaborowali z używającą tortur armią francuską.

DEBATA V

Dyplomacja czy propaganda – wygaszanie konfliktów w mediach

Danuta Glondys

Kolejną debatę poprowadzi mój przyjaciel Arne Ruth. Arne był przez siedemnaście lat redaktorem naczelnym „Dagens Nyheter”, najpopularniejszego dziennika w Szwecji, czyli tym samym, kim jest Adam Michnik dla kreowania opinii publicznej. Od lat działa w Szwedzkim Komitecie Helsińskim.

Arne Ruth, moderator

Z pewnością moim zamiarem nie jest zdominowanie tej dyskusji. Poproszę uczestników o dziesięciominutowe wystąpienia, żebyśmy mogli poprowadzić otwartą debatę, w której będzie także miejsce dla wątków pochodzących z poprzednich wystąpień. W debacie udział biorą: Tomasz Bielecki z „Gazety Wyborczej”, który przez ostatnie trzy miesiące przebywał w Iraku jako korespondent wojenny; Mariusz Pilis, który jest zawodowym producentem filmów dokumentalnych oraz współproducentem filmu pokazanego wczoraj; oraz Marek Nowakowski, felietonista i komentator tygodnika „Wprost”, człowiek o wyrobionej pozycji politycznej, były podsekretarz stanu w Kancelarii Premiera i doradca w zakresie polityki zagranicznej. To podwójne doświadczenie – w obszarze polityki i dziennikarstwa – pozwala na komentowanie zagadnień politycznych jednocześnie z pozycji uczestnika i obserwatora.

Chciałbym zaznaczyć pewien aspekt tematu, o którym będziemy rozmawiać. W ramach dyskusji na temat „Dyplomacji lub propagandy” konieczne jest zwrócenie uwagi na narzędzia determinujące konflikt w mediach. Wydaje mi się, że w obecnej chwili, i to pomimo naszych dziennikarskich intencji, media stały się ważnym ogniwem konfliktu. Są wykorzystywane przez partie polityczne i zbliżają się do tego, aby same zająć ich miejsce. Ta sytuacja niewątpliwie zwiększa ryzyko uprawiania dziennikarstwa w takim obszarze konfliktu, jakim jest Irak. Ten problem odnosi się do spraw, o których rozmawialiśmy poprzednio, o tym, iż powinniśmy informować o faktach, stać na pozycji pozapartyjnej oraz szukać prawdy niezależnie od interesów danego ugrupowania politycznego.

Co dzieje się w przypadku sytuacji, o której mówił wczoraj Pan Rotfeld, kiedy konflikty przestają być konfliktami, a mimo to istnieją grupy, które są nieprzewidywalne, i o których prawie nic nie wiemy, które operują jednak na międzynarodową skalę i na pewno znają metody zwrócenia na siebie uwagi mediów.

Tony Blair, wywodzący się z Partii Pracy z okręgu Brighton, stoi w obliczu podwójnego problemu. Jako szef Partii Pracy chętnie zablokowałby dyskusję na temat Iraku i próbowałby powstrzymać w ten sposób kryzys, wywołany porwaniem dla okupu Kena Bigly, brytyjskiego inżyniera, którego syn organizuje własne audycje telewizyjne atakujące Blaira za bezczynność. To sprawa medialna. Niezależnie od tego, co Blair deklaruje, że zrobi, jeśli ostatecznie dojdzie do kontaktu pomiędzy nim a porywaczami, jego ostateczną odpowiedzią będzie oświadczenie, że nie zamierza z nimi negocjować.

Jaka jest różnica między reagowaniem a negocjowaniem? Nie wiem, czy potrafimy to ocenić. Wiele wskazuje na to, że jesteśmy świadkami gry telewizyjnej. Jak w tej sytuacji powinni zachować się dziennikarze: pokazywać wystąpienia zakładników czy porywaczy? Mamy tu do czynienia z wielkim dramatem, do którego dochodzi element troski o tych ludzi, którym grozi się przecież śmiercią. Wiemy, iż dwoje Amerykanów wcześniej zostało zabitych przez tych samych porywaczy. Z pewnością nastąpi krwawy koniec dla pana Bigly, jeżeli coś nie zostanie zrobione.

A może powinniśmy przyrzeć się temu, co dzieje się na zapleczu? Istnieje dowód na to, że dwie włoskie wolontariuszki zostały zwolnione dzięki okupowi w wysokości miliona dolarów. Tę informację podało dziś rano BBC World Service, zaś reporterem odpowiedzialnym za przekaz był kuwejcki dziennikarz, który wiarygodnie relacjonuje wydarzenia z wnętrza konfliktu.

Chciałbym teraz zamknąć ten temat. Nie zamierzam organizować dyskusji wskazując dyskutantom, co mają mówić. Moja intencją było tylko wskazanie aspektów, które być może podniosą temperaturę dyskusji. A teraz oddam głos Panu Bieleckiemu.

Tomasz Bielecki

Jestem dziennikarzem działu zagranicznego w „Gazecie Wyborczej”. Zajmuję się przede wszystkim Bliskim Wschodem i jestem odpowiedzialny za relacjonowanie konfliktu w Iraku.

Dla mnie refleksja o roli mediów w wygaszaniu konfliktów jest związana z pytaniem dotyczącym powinności dziennikarza „newsowego”, odpowiedzialnego za codzienne donoszenie o tym, co dzieje się w rejonach konfliktu oraz za podawanie najważniejszych faktów. Z punktu widzenia samego warsztatu dziennikarskiego wydawałoby się, że moja rola, która polega na czystym podaniu informacji oraz, jeśli to możliwe, na oddaniu głosu jednej i drugiej strony konfliktu, nie pozostawia mi żadnej możliwości „wygaszania” konfliktu.

Jako użytkownik mediów, także tych elektronicznych, które w dużej mierze zajmują się sprawami irackimi, mogę jednak stwierdzić, że fakty i racje obu stron mogą być podawane w sposób bardzo różny. Wystarczy przyrzeć się temu, jak robi to katarska telewizja al-Dżazira, jak BBC, a jak CNN. Żadnej z tych stacji nie można oskarżyć o to, że ukryła jakieś fakty. Żadnej z tych stacji nie można posądzić o to, że jawnie nimi manipuluje. Wszystkie cytują najważniejsze źródła, pokazują to, co naprawdę się dzieje. Jednak to sposób przekazu sprawia, iż skutek tych komunikatów jest zupełnie różny. Nie jestem tutaj po to, by krytykować al-Dżazirę, ale to jej relacje z nalotów i operacji amerykańskich w Falludży w kwietniu 2004 r. sprawiły, że na ulice Bagdadu wyległy setki uzbrojonych Irakijczyków i rozpoczął się marsz w stronę tego miasta. Nie chcę teraz oceniać zasadności operacji wojsk amerykańskich w Falludży, niemniej na pewno ich sposób relacjonowania przez telewizję al-Dżazira nie przyczynił się do wygaszenia konfliktu.

Dlatego przede wszystkim należy zadać sobie pytanie na temat sposobu, w jaki możemy uniknąć dodatkowego podgrzewania konfliktów.

Gdy się nad tym zastanawiałem, przyszły mi do głowy trzy wskazówki. Pierwsza, która być może zabrzmiała przewrotnie, związana jest z przekonaniem, iż dziennikarz, który ma dobre intencje, który nie chce podżęgać i pogłębiać konfliktu, powinien nie spełniać pewnych oczekiwań swoich głównych redaktorów. Po drugie, powinien nie spełniać wszystkich oczekiwań swoich czytelników. I po trzecie, powinien zrezygnować z niektórych własnych nadziei i idealizowania niektórych stron konfliktu.

Pierwsza wskazówka nawiązuje do oczekiwań szefów. Myślę, że te oczekiwania są bardzo dominujące w przypadku mediów elektronicznych, ale także i mediów prasowych, o czym mogę się wypowiadać jako ich przedstawiciel. Dobry tekst czy dobry materiał, który zajmuje pierwsze miejsce w dzienniku telewizyjnym lub który znajduje się na pierwszej stronie gazety, powinien być pełen emocji. Jeżeli nie spełnia tego wymagania, pojawia się zarzut, że jest on podobny do depechy agencyjnej. Zadanie dziennikarza polega na ubraniu tekstu lub materiału w emocje, aby był on łatwiej przyswajalny przez czytelnika, bardziej dla niego atrakcyjny. To dobra zasada. Niemniej przesada sprawia, że sprawa kończy się tak, jak w przypadku wspomnianej przez mnie relacji telewizji al-Dżazira i Irakijczyków, którzy zaczęli maszerować w kierunku Falludży. Myślę, że jako dziennikarz powinienem godzić się czasami na to, aby tekst czy materiał pomimo spadku jego atrakcyjności był pozbawiony emocji, iż powinniśmy narzucić sobie ten rodzaj może nie cenzury, ale ograniczenia.

To uczucia Amerykanina sprawiają, iż dana relacja z Iraku wygląda w taki a nie inny sposób w CNN, zaś emocje dziennikarza irackiego lub arabskiego z telewizji al-Dżazira czy al-Arabia przesadzają o zupełnie innym kształcie relacji tych stacji. To jeszcze nie jest niekorzystne. Jednak w momencie, gdy tych emocji jest tak dużo, że funkcja informacyjna komunikatu ustępuje właściwie funkcji impresywnej, jak w przypadku obrazów, które oglądaliśmy w kwietniu w telewizji al-Dżazira, a które nawoływały ludzi do bronięcia się przed Amerykanami, to właśnie w takim przypadku media mogą być posądzone, i słusznie, o podżeganie konfliktu i rezygnację z działań na rzecz poprawy sytuacji

Nawiązując do kwestii zakładników, myślę, że pozbawienie pewnych tekstów i obrazów warstwy emocjonalnej może polegać na tym, że telewizja al-Dżazira, Telewizja Polska czy „Gazeta Wyborcza” informują o ścięciu zakładników. Natomiast już dążenie do tego, aby materiał był bardzo atrakcyjny i pokazywanie samej egzekucji, chwili przed nią, kiedy to zakładnik błaga o życie, lub rozpaczającej rodziny po tym, kiedy dowiaduje się ona o jego śmierci, jest przekroczeniem tej granicy.

Sprawa druga: oczekiwania odbiorców mediów. W poprzednim panelu pan Adam Szostkiewicz mówił o tym czarno-białym obrazie, który sprzedawany jest w mediach. Tak, to na tym polega. Ale problem w telewizji nie dotyczy tylko tego, że jesteśmy ograniczeni czasowo, że mamy tylko dwie minuty i pięć sekund na nadanie korespondencji, i że ona musi być krótka. W prasie nie chodzi tylko o to, że mamy tyle i tyle wierszy na korespondencję z rejonu konfliktu. Prawda jest też taka, że wielu naszych odbiorców, naszych widzów czy czytelników, oczekuje czarno-białego obrazu. Ja spotykam się z tym również w sprawach codziennych, w rozmowach z moimi przyjaciółmi, z moją rodziną. Proszę, żebym im opowiedział o tym, co się dzieje na Bliskim Wschodzie, ale w miarę prosto, w miarę szybko.

Wielu naszych odbiorców nienawidzi sformułowania „to zależy”. Czy Mukta al-Sadr ma rację, czy nie ma racji? Czy jest zły? Jak powinien zakończyć okupację meczetu w Nadżafie? Kiedy dziennikarz odpowiada „to zależy”, to podejrzewam, że poważna część czytelników się zniechęca i nie czyta dalej. Czarno-biały obraz jest łatwiejszy do przedstawienia dla dziennikarza. Łatwiej buduje się napięcie w tekście, łatwiej buduje się napięcie w programie telewizyjnym. Tekst jest łatwiejszy w czytaniu, łatwiejszy w odbiorze, prostszy do zapamiętania przez naszych odbiorców. Myślę, że aby nie podżegać do konfliktów, powinniśmy jednak nie spełniać tych oczekiwań. Przykładem jest tutaj Mukta al-Sadr. Na tym przykła-

dzie uwidacznia się wina, którą ponosi retoryka wojny z terroryzmem, nadużywana w tym przypadku. Wina czarno-białych obrazów przesyłanych z Iraku. Chodzi tutaj o to, co pisze się o al-Sadrze, który ma na swoim koncie już dwa powstania w Iraku.

To owa czarno-biała retoryka sprawiła, że Mukta al-Sadr jest nazywany w wielu mediach terrorystą. Sytuacja w takim wypadku rysuje się bardzo jasno. Jest dobra strona. Jest rząd iracki. Są być może oponenci premiera, prezydenta Iraku, ale to są ci, którzy prowadzą pokojowy dialog w ramach tymczasowego parlamentu, etc. I – z drugiej strony – jest Mukta al-Sadr, który ma własne bojówki i domaga się realizowania swoich racji siłą. Od razu zyskał miano terrorysty, co – tak naprawdę polskie media nie mają wpływu na tę sytuację, inaczej jest z angielskojęzycznymi – utrudnia negocjacje pokojowe, utrudnia proces pokojowy w Iraku. Dzieje się tak dlatego, że Mukta al-Sadr nie jest terrorystą. Mukta al-Sadr, zdaniem wielu irackich polityków, powinien zostać zasymilowany przez system polityczny Iraku, z nim powinno się negocjować. Jednak trudno negocjować, trudno siadać wspólnie do stołu, jeżeli wcześniej trąbi się we wszystkich mediach, że twój partner do negocjacji jest terrorystą. Winą za to, że powstaje taka trudność, powinno się obarczyć media i jest to wina odpowiadania na potrzeby czytelników, którzy potrzebują czarno-białego obrazu.

Inny przykład – Algieria. Algieria po wielu latach wojny domowej z islamistami jest w o wiele lepszej sytuacji, ponieważ porzucono tę retorykę. Islamiści przestali być postrzegani jako jeden blok, z którym należy walczyć, gdyż jest blokiem terrorystycznym. Zaczęto dostrzegać wszystkie odcienie szarości pomiędzy terroryzmem a zbrojną opozycją, zaczęto wyluskiwać te grupy, z którymi można negocjować, z którymi można się układać. Porzucono czarno-biały obraz i to przyczyniło się do wygaszenia konfliktu.

Trzeci punkt, o którym mówiłem, to rezygnacja z idealizowania stron konfliktu przez dziennikarza, który może być nastawiony bardzo propokojowo, może pragnąć, żeby ten konflikt jak najszybciej się rozwiązał. W mediach, zwłaszcza europejskich – wracam do Iraku – jest wyraźna tendencja, żeby pokazywać przeciwników procesu pokojowego w Iraku oraz przeciwników stabilizacji tego państwa jako margines fanatyków.

Dominuje taki obraz, że zdecydowana większość Irakijczyków jest „za”: pragnie pokoju, nie ma poważniejszych zastrzeżeń wobec obecnej polityki ani wobec irackiego rządu tymczasowego, natomiast istnieje jakieś 2% fanatyków, którzy są „prze-

ciw”. Uzasadnia się to tym, że Koran nic nie mówi o porywaniu zakładników, że religia muzułmańska jest bardzo propokojowa itd. Tu oczywiście mówi się o islamie, jednak te same sprawy można odnieść do chrześcijaństwa w innych obszarach konfliktowych na świecie. Dziennikarz, który to robi, nie pokazuje prawdy, chociaż powinien tak czynić. Dziennikarz relacjonujący wydarzenia w Iraku powinien mówić o tym, że znaczna część Irakijczyków postrzega ludzi Zachodu w Iraku jako współczesnych krzyżowców. Znaczna część ludzi w Iraku postrzega nas jako wrogów i dziennikarze muszą o tym informować. Nie mogą ich idealizować. Muszą pokazywać, z kim my się tam musimy układać, z kim negocjować i z kim zawierać pokój. Jeżeli ulegniemy potrzebom idealizowania jednej ze stron konfliktu, zafalszujemy obraz i to może tylko utrudnić proces pokojowy i tak naprawdę zwiększyć rozczarowanie drugiej strony. Spowodować późniejszą agresywną reakcję.

Zajmując się także konfliktem izraelsko-palestyńskim. Idealizowanie pojawiło się również w tym kontekście. Kiedy w 1993 roku prowadzono intensywne negocjacje izraelsko-palestyńskie, jeden z najbardziej wpływowych dzienników izraelskich Ha'aretz, liberalno-lewicowy, tak bardzo pragnął tego pokoju, tak bardzo wychodził poza funkcję informacyjną, że zaczął idealizować stronę palestyńską. Dość powiedzieć, że premier Icchak Rabin, laureat pokojowej nagrody Nobla, ostentacyjnie zrezygnował z prenumeraty tego dziennika. Ogłosił to publicznie, protestując z dobrych intencji przeciwko fałszowaniu obrazu jednej ze stron konfliktu.

Jeśli sprzeciwiamy się zaostrzaniu sporów, to w jaki sposób powinniśmy promować pokój?

Tutaj istnieją dwie pokusy. Pierwsza prowadzi poprzez koncentrację na pokojowych inicjatywach, promowanie tych działań, i w efekcie nadawanie im większej rangi, niż mają w istocie. Myślę, że w pewnej mierze ten wybór jest uzasadniony. Niemniej jednak trzeba obawiać się tutaj śmieszności, co warto zilustrować na przykładzie izraelskim. W grudniu ubiegłego roku pojawiła się inicjatywa genewska. Niezależni reprezentanci stron – izraelskiej i palestyńskiej – zawarli niby „porozumienie pokojowe w Genewie”, które było propozycją do rozważenia przez rząd Ariela Sharona oraz władze kierowane przez Jasera Arafata. Na samym Bliskim Wschodzie było to *de facto* wydarzenie marginalne.

Byłem wówczas w Jerozolimie. Zarówno Palestyńczycy, jak i Izraelczycy postrzegali wydarzenia w Genewie jako zabawny happening. Może dobry, ale marginalny happening. Natomiast w mediach europejskich było to wydarzenie numer jeden. Relacja ta została umieszczona jako główny tekst działu zagranicznego

w „Gazecie Wyborczej”, żeby nie krytykować już innych mediów. Nadaliśmy więc rangę czemuś, co tej rangi nie miało. Do pewnego stopnia takie działanie jest dopuszczalne, ponieważ w jakimś sensie jest to promowanie propozycji pokojowych. Z drugiej strony jednak trzeba się bać, aby nie stało się to propagandą. Tu chodzi nie tylko o kwestie etyczne, lecz także o sprawy czysto praktyczne. Jeżeli będziemy „nadmuchiwać”, mówiąc dziennikarskim slangiem, takie pokojowe inicjatywy, które nie mają istotnego znaczenia, to czytelnicy przestaną nam wierzyć. Stwierdzą, że nie oddajemy rzeczywistości. Musimy być tutaj bardzo ostrożni.

Druga pokusa to ukrywanie pewnych faktów. Takie działanie jest niedopuszczalne, ale musimy być świadomi tego, iż dziennikarz, który pragnie wygaszenia konfliktu, jest na tę pokusę narażony. Jesienią ubiegłego roku „Gazeta Wyborcza” zorganizowała konferencję iracko-polską, na którą przyjechali iraccy dziennikarze. Rozmawiałem tam z pracownikiem nowych mediów irackich, powstałych po upadku Saddama Husajna, i miał on – co jest zrozumiałe – dużo dobrego i dużo złego do powiedzenia o Paulu Bremerze, ówczesnym szefie administracji okupacyjnej, czy stabilizacyjnej, w Iraku. Na pytanie, czy jego gazeta donosi o złych rzeczach i czy krytykuje posunięcia administracji amerykańskiej, co jest normalne w Ameryce czy Europie, odpowiedział, że jeszcze nie na tym etapie. Na tym etapie równowazyłoby się to z podżeganiem do konfliktu. Przyznaję, że wysłuchałem tej odpowiedzi z przerażeniem, ponieważ mówimy tu o złamaniu kanonów dziennikarskich. Z drugiej strony, gdy tkwi się w środku konfliktu takiego jak Irak, może się wydawać, iż lepiej jest pewne sprawy przemilczeć. Jest to jednak działanie na krótką metę. Gazeta tego dziennikarza po kilku miesiącach zyskała w Iraku opinię propagandowej, straciła czytelników i w efekcie pragnienia aktywnego działania w kierunku pokoju, straciła możliwość oddziaływania w ogóle.

I jeszcze ostatnia kwestia. Niestabilna sytuacja w Iraku doprowadziła do praktycznej nieobecności tam zachodnich mediów. Ich przedstawiciele albo siedzą w obozach wojskowych, albo też w dwóch hotelach w Bagdadzie. Część korespondencji w prasie włoskiej zaczyna się od sformułowań, że Bagdad wygląda z góry jak całkiem spokojne miasto. Rzeczywiście, na dachu jednego z tych dwóch hoteli, na poziomie 35. piętra, jest duży taras dla dziennikarzy i stamtąd piszą oni swoją korespondencję. Nie wychodzą na miasto, ponieważ się boją, i jest to zrozumiałe. Od ostatnich trzech, czterech miesięcy mamy do czynienia z nowym etapem w relacjonowaniu wydarzeń na Bliskim Wschodzie, ponieważ to pole zostało prawie w całości oddane mediom arabskim. Telewizje al-Dżazira, al-Arabia i irackie gazety

mogły sobie do tej pory pozwalać na dość jednostronne relacjonowanie pewnych racji, wiedząc, że istnieje przeciwwaga w postaci arabskojęzycznych telewizji zachodnich. Natomiast teraz, gdy pozostają tylko ci, którzy reprezentują tylko jedną stronę, zobaczymy, co się będzie działo.

Mariusz Pilis

Zgadzam się z tezą, że rola wygaszania konfliktów przynależy dziennikarzom a nie mediom. Na całość tego problemu patrzę jednak trochę z innego punktu. Obecny stan mediów diagnozuję jako bardzo zły. Moją intencją jest, na przykładzie jednego kraju i jednego konfliktu, spróbować odpowiedzieć na pytania dotyczące propagandy czy dyplomacji oraz rozważyć ewentualną możliwość wygaszania konfliktów poprzez ludzi mediów.

Chciałem opowiedzieć o Afganistanie. Mniej więcej dwa miesiące temu wróciłem z tego kraju po około miesięcznym pobycie. Na samym początku należy powiedzieć, że ten konflikt nie istnieje. A to dlatego, że nie istnieje on w mediach. I to pomimo tego, iż jest to konflikt bardzo radykalny, z każdym dniem się potęgający, który dotyczy coraz większych obszarów tego kraju, o czym zapewne wielu z Państwa nie wie lub ma na ten temat bardzo niewiele informacji.

W ciągu mojego miesięcznego pobytu zginęło tam około pięćdziesięciu osób, z czego około czterdziestu to ludzie Zachodu: członkowie organizacji humanitarnych lub różnych agencji pozarządowych, które próbują pomagać i wprowadzać jakiś porządek w Afganistanie. Natomiast w mediach ta wojna nie istnieje, i to na pewno nie dlatego, że nie ma tam dziennikarzy, ponieważ oni tam są. Ta wojna nie istnieje dlatego, że już nie jest dobrym towarem, dobrym towarem medialnym. Już się nie sprzedaje. My tę wojnę zakończyliśmy w chwili, w której media przestały o niej mówić. Czy my, ludzie mediów, jesteśmy w stanie wpłynąć na taką sytuację? Na pewno tak, jeżeli chodzi tu o bezpośrednie działania, jeżdżenie na miejsca wydarzeń, tworzenie bezstronnych, obiektywnych relacji.

Myślę, że problem zaczyna się trochę gdzie indziej. Kolega mówił o tym, że należałoby szukać takich rozwiązań, które promują pozytywne objawy normalizowania sytuacji na terenach objętych konfliktami lub na terenach postkonfliktowych. Problem polega na tym, że to się nie sprzedaje. To nie jest towar. Jakie są źródła takiej sytuacji, w której wiemy dokładnie, co się dzieje na terenach objętych konfliktami i mamy możliwość ciągłego ich monitorowania, pokazywania ich prawdziwego obrazu?

„Gazeta Wyborcza”, w trakcie relacjonowania sprawy pozostającej poza sferą tej dyskusji: afery Rywina, prowadziła rubrykę, w której stale informowała o tym, co się w tej sprawie działo, jak ta sprawa jest komentowana, kto w niej uczestniczył. Być może działo się tak dlatego, że bezpośrednio była dotknięta tym problemem? Prawdopodobnie to był pierwszy powód istnienia tej rubryki, choć pewnie można by dorobić do tego mnóstwo innych, szczytnych hasel, takich na przykład, że należy informować. Zostało tutaj wprowadzone rozwiązanie, które pozwoliło na ukazanie problemu od momentu rozpętania się afery do jej wygaszenia.

Ale, niestety, takie rozwiązanie może dotyczyć jedynie gazet lub innych mediów nieelektronicznych. W mediach elektronicznych czas i pieniądze są liczone zupełnie inaczej, zaś informacja jest towarem. Obawiam się, że w mediach elektronicznych do wygaszania konfliktów nigdy nie dojdzie. Chociaż pewnie chcieliby tego dziennikarze tacy jak my, którzy jeżdżą, szukają, sprawdzają, narażają często swoje zdrowie i życie po to, żeby przekazać jakąś prawdę. Prawdę, która nie jest wysłuchana do końca, ponieważ na danym etapie nie jest atrakcyjna. Nie zamienia się bezpośrednio w czasy reklamowe, które napędzają interes.

Arne Ruth

Dziennikarstwo, o którym do tej pory dyskutowaliśmy, sprowadza się do przedstawiania informacji. Jako komentator, Marek Nowakowski reprezentuje inny gatunek dziennikarstwa. Nie chciałbym uprzedzać dyskusji, lecz bardzo interesujące byłoby dla mnie poznać Pana zdanie na temat ewentualnych różnic pomiędzy tymi dwoma rodzajami dziennikarstwa, gdy mowa jest o konfliktach.

Marek Nowakowski

Zapowiedziałeś mnie jako osobę o podwójnym doświadczeniu, o podwójnym spojrzeniu, jako byłego polityka, dyplomatę i dziennikarza jednocześnie. Poprzeczkę zawiesiłeś mi więc bardzo wysoko. Na początek chciałbym, właściwie zabierając chleb mojemu przedmówcy, dokonać takiej obrazkowej prezentacji. Tytuł tego panelu to „Dyplomacja czy propaganda. Wygaszanie konfliktów w mediach”. Wyobraźcie sobie Państwo redaktora Bohatkiewicza, który na co dzień biega w typowym reporterskim bezrękawniku, że teraz wdziewa na to frak i cylinder. Wyglądałby lekko idiotycznie. Jest to obrazowa metafora tego, iż uzurpowanie sobie przez dziennikarza roli dyplomaty, roli kogoś, kto ma być stroną kreującą rozwiązanie konfliktu, wydaje mi się nieuzasadnione. Podobnie jak pewien jestem tego, że gdy do kieszeni tego dziennikarskiego bezrękawnika wsadzi się mu megafon propagandowy, to go od razu będzie widać. Propaganda jest wysoce nieskuteczna.

I jeszcze ostatnia rzecz: jeżeli będziemy oczekiwali od mediów wygaszania konfliktów, to będzie to równie skuteczne i sensowne, jak żądanie gaszenia ognia benzyną.

Na początek chciałbym zwrócić uwagę, że mówimy tu cały czas nie o społeczeństwach postkonfliktowych, ale o społeczeństwach w gorącej fazie konfliktu – społeczeństwem postkonfliktowym jest, uczciwie mówiąc, Polska, a nie Irak, i w jej przypadku można mówić o czymś takim jak „wygaszanie konfliktu”. W Iraku nie ma na razie czego wygaszać, ponieważ jedyne co można tam zrobić, to starać się nie eskalować. Więc bądźmy tu precyzyjni. Zadanie mediów w społeczeństwach postkonfliktowych jest dokładnie takie same, jak w każdym wolnym społeczeństwie demokratycznym: informowanie i – jeżeli mówić o pozytywnych aspektach – tworzenie pola społecznego dialogu. Tylko tyle i aż tyle, ponieważ jakiegokolwiek dziennikarstwo zaangażowane prowadzi do skutków odwrotnych od zamierzonych.

Kiedyś zamówiłem grupę tłumaczy, którzy przez kilka tygodni dość intensywnie przygotowywali mi tłumaczenia prasy i telewizji arabskiej u progu konfliktu irackiego. Prawdę mówiąc, po tej lekturze protokoły mędrców Syjonu można by odstawić na półkę jako dzieło krzyczące obiektywizmem. Tak dziki rasizm w Europie czy w Stanach skończyłby się wsadzeniem do więzienia połowy redaktorów prasy i telewizji arabskiej, która u nas uchodzi za w miarę łagodną i obiektywną. Miejmy więc świadomość, że mówienie o funkcji informacyjnej, funkcji dialogowej nie jest wcale oczywistością we współczesnym świecie, lecz raczej cichym głosem marginesów, popiskującym we współczesnej światowej rzeczywistości.

W pełni zgadzam z tym, co mówił Adam Szostkiewicz, i byłbym nawet od niego bardziej cyniczny. Media żywią się konfliktami, media żywią się śmiercią, media żywią się krwią. Media są „sępiaste”. Właśnie te media demokratyczne, gdyż takie być muszą. Tu mój młodszy kolega z „Gazety Wyborczej” przejawiał szlachetne intencje mówiąc, że trzeba nie spełniać oczekiwań szefów, a nawet czytelników. Dobrze, nie spełniamy oczekiwań czytelników przez kilka tygodni, to tych czytelników nie będziemy mieli i wtedy będziemy mogli, równie dobrze, na powielaczu drukować sobie gazetkę dla kolegów: nakład będzie mniejszy, ale też oddziaływanie żadne.

Trzeba mieć świadomość, że czytelnik jest to zazwyczaj osobnik zabiegany, który nie oczekuje przedstawienia różnych stron konfliktu, lecz krótkiej, jasnej odpowiedzi. Jeżeli mamy mu prezentować tak wiele stron konfliktu, to musimy to robić używając kwartalników, wąskospecjalistycznych mediów lub niskoogłądalnych programów telewizyjnych po godzinie dwudziestej trzeciej. Jeżeli zaś chodzi o sugę-

ścię, że ten sam sposób opisanie afery Rywina w „Gazecie Wyborczej” mógłby posłużyć dla opisanie Afganistanu, to jest to niewykonalne, ponieważ po czwartym dniu będzie to czytało sześciu czytelników. Lepiej wysłać im to listem, wyjdzie taniej.

Jeżeli nasz przekaz będzie niezwykle skomplikowany, to nie dotrze on do tak zwanego przeciętnego czytelnika. Przeciętnemu czytelnikowi trzeba przekazywać informacje w sposób, który skłoni go do sięgnięcia po nie i przeczytania. To jest kwestia sztuki dziennikarskiej: opowiedzieć w sposób prymitywny o czymś, co jest skomplikowane. Myślę, że jeżeli mówimy o zadaniach mediów w wygaszaniu konfliktów, to właśnie na tym ma to polegać: na przełożeniu na język ludzi, którzy mają pięć minut czasu, sprawy dramatycznie trudnej i skomplikowanej.

Kolejny problem to kwestia obiektywizmu prezentacji, który zakłócany jest przez parę czynników. To nie tak, że jest on gwałcony przez nacjonalistyczne formuły myślenia, jak w przypadku arabskim, lub też poprzez postawy podobne do tej, jaką reprezentuje Oriana Fallaci, która w bardzo wyostrzonych, acz literacko bardzo dobrych, formach głosi wojnę cywilizacji i jest ceniona przez wielu za wkładanie kija w mrowisko. Obiektywizm cierpi także na tym, iż bardzo często nie potrafimy odczytywać języka dyskursu drugiej strony. To, co mogłaby czynić prasa dla wygaszania konfliktów, sprowadza się do tworzenia pola dialogu. Chodzi o oddanie głosu drugiej stronie przy życzliwej postawie redaktora, a więc zagwarantowaniu, że owe „inne” racje zostaną wypowiedziane językiem zrozumiałym dla odbiorcy, aby uniknąć w ten sposób ich natychmiastowego odrzucenia. I właściwie nic więcej, poza wysłuchaniem i stworzeniem szansy na dialog, prasa i media zrobić nie mogą.

Jeżeli przebijają się w rolę dyplomatyczną, to zazwyczaj przegrywają. Co zaś zrobić w przypadku wykorzystania propagandowego mediów, jak przy ostatnim filmie Michaela Moore’a, „Fahrenheit 9/11”? Otóż mamy sekwencję obrazków: dzieci irackie bawiące się piłką, prezydent Bush mówiący o tym, jak Saddam Husajn straszliwie gnębi Irakijczyków, kolejne cięcie, w którym oglądamy Irak w ruinach, z płonącymi domami, strzelaniną. Równie dobre lub nawet bardziej uprawnione byłoby odwrócenie tej sekwencji: pokazanie najpierw masowych grobów ofiar Saddama, potem przemówienia Busha i w końcu dzieci, które jeszcze trzy miesiące temu spokojnie niż dzisiaj bawiły się na dziedzińcu szkoły. Wszystkie te obrazy byłyby prawdziwe w sensie prawdziwości przekazu, natomiast komunikat byłby dokładnie przeciwny.

To, co może zrobić medium, to oddziaływanie w takim kierunku, aby nie następowwała eskalacja konfliktu. Żeby, na przykład, nie tworzyło się podstawy dla postaw rasistowskich, czego przykład kliniczny mamy we współczesnych mediach rosyjskich. W moim przekonaniu, media rosyjskie budują w sposób całkowicie świadomy i kierowany, charakterystyczny dla odbudowy państwa totalitarnego, nienawiść nawet nie do Czeczeńców, tylko do tak zwanego „czarnego”. Czarny jest zły, czarny jest zamachowcem, czarny jest bandytą. Tutaj właśnie mamy zasadniczą odpowiedź na pytanie o rolę mediów w społeczeństwach postkonfliktowych, i tutaj jest miejsce na ostatnie zdanie o Polsce.

Amerykianie opowiadali pewien stary dowcip, jak to pies chciał zagryźć dziecko w Nowym Jorku: rzucił się potężny rottweiler w Central Parku, matka przerażona, policjanci stoją w pewnej odległości i wiedzą, że nie pomogą. Nagle podrywa się z ławki mężczyzna, łapie rottweilera i przetrąca mu kark. Dobiegają policjanci, zachwyceni. Niech pan poda swoje nazwisko, jutro napiszą o tym wszystkie gazety w Nowym Jorku: Amerykanin uratował dziecko przed niechybną śmiercią. „Tak, ale ja nie jestem Amerykaninem!” – „To nic, niech pan powie, kim pan jest”. – „Ja jestem Palestyńczykiem”. Następnego dnia gazety poinformowały, że palestyński terrorysta zamordował amerykańskiego psa.

Kpiono w ten sposób w Ameryce, lecz prasa amerykańska, pomimo 11 września, nigdy nie nakręciła takich jak w Rosji spiral niechęci. Po Bieslanie przybrało to formy hysterii.

Naszą własną winą, winą polskiej prasy, jest to, że nie doszły do nas do kraju informacje o kilku pogromach, które odbyły się w Rosji, także w Moskwie, przeciwko „czarnym” (czarni są wszyscy – Gruzini, Tadzycy, Czeczeni). Prasa, i w ogóle media, mogą być użyte do świadomego wykreowania nienawiści. Nienawiści, która bynajmniej nie poprzestaje na samej sobie, lecz jest motorem napędzającym kolejne fazy rozwoju dyktatury. Dostrzeganie tego ze strony polskiej, za co Pan Prezydent Kwaśniewski pokajał się na Kremlu, pełni rolę pewnego rodzaju wentylu bezpieczeństwa.

Istnieje także pozytywny przykład z ostatnich tygodni: kto z państwa słyszał o radiu 102 z Ugandy? Na pograniczu Ugandy i Ruandy mamy partyzantkę, gwałty, rzezie, słowem taką, cynicznie mówiąc: „rozrywkę towarzyską”. Władze ogłosiły amnestię dla partyzantów, jednak oprócz kilkudziesięciu osób, które złożyły broń, nikt inny nie uwierzył w szczerą intencję władzy, gdyż kontakty z nią w Afryce są raczej jednoznaczne: krótkie i nieprzyjemne. Ci, którzy zostali amnestiowani,

udali się do lokalnej rozgłośni radiowej działającej na terenach pogranicza i w ten sposób udowodnili, że żyją. W chwili obecnej, z 50 tys. partyzantów mamy 20 tys., którzy złożyli broń dzięki jednemu niedużemu radiu, które w sposób w miarę uczciwy stara się oddawać wydarzenia i fakty. Uczciwie podając informację, medium może więc odegrać rolę moderującą konflikt, i to na wielką skalę, jednak warunkiem jest tu uczciwość.

Ostatnie pytanie, wcale nie banalne, które sam sobie zadaje: W jaki sposób i czy w ogóle powinniśmy mówić o zakładnikach terrorystów? Dramatyczne jest to, że terroryzm jako zjawisko istnieje wyłącznie dzięki mediom. A więc czy media powinny kłamać milcząc na temat terroryzmu, co prawdopodobnie osłabiłoby jego siłę rażenia, czy też powinny pokazywać kolejne ścięte głowy? Ja sam nie znam odpowiedzi na to pytanie, które jest refleksją o charakterze etycznym.

Problem etyki dziennikarskiej pojawia się bardzo często w prawdziwym społeczeństwie postkonfliktowym, jakim jest społeczeństwo polskie. Mieliśmy w Polsce próbę budowania tego dialogu i łagodzenia konfliktu, czasem trochę na siłę, próbę, którą „Gazeta Wyborcza” podejmowała przez kilka lat. I, w gruncie rzeczy, to łagodzenie kantów, uciekanie od tematyki spornej lub głoszenie, iż niewarta jest ona uwagi, doprowadziło raczej do obniżenia wiarygodności gazety, niż do załagodzenia podziałów, którym starała się ona przeciwdziałać.

Przykład ostatni i zabawny, bo sam siebie zacytuję. Dwa dni temu zadzwoniła do mnie znajoma, której córka, na podstawie przykładów historycznych i literackich, miała napisać wypracowanie na temat: „Aleksander Wielki powiedział swoim wodzom, gdy namawiali go do ataku na swoich wrogów nocą: Nie chcę kradzionego zwycięstwa. – Udowodnij prawdziwość tej myśli”. Ja zaproponowałem tej młodej osobce, żeby rozpoczęła od stwierdzenia, że gdyby współcześni dziennikarze zapytali Aleksandra Wielkiego o powody takiej decyzji, to po pierwsze, zadali mu pytanie o to, dlaczego poświęcił dla swojego honoru życie tysięcy swoich żołnierzy, nie korzystając z szansy na nocne uderzenie. W pytaniu tym odbija się obraz współczesnej prasy, jak również relacje pomiędzy mediami a polityką, trudne do poddania jednoznacznemu osądowi moralnemu.

Konkludując, jedyną rolą mediów w społeczeństwie postkonfliktowym jest mówienie prawdy do bólu, bo tylko to oczyszcza. Współczesne relacje polsko-niemieckie są najlepszym przykładem na to, że niedopowiedzenia okazują się później bardzo bolesne. Po drugie, media, niestety, powinny być okrutne dla świata kon-

fliktowego, aby – transkrybując słowa wieszczą – nie dopuścić do tego, żeby narodowe i międzynarodowe blizny zarastały błoną podłości.

Arne Ruth

Chciałbym zaproponować przedyskutowanie pewnej kwestii. Chodzi o wczorajszą wypowiedź Premiera Mazowieckiego, która wydaje mi się niezwykle interesująca. Zdefiniował on w niej konflikty na Bałkanach, a więc konflikty, które uchodzą za rozwiązane, jako ukryte przed wzrokiem międzynarodowej społeczności. Według Tadeusza Mazowieckiego sytuacja daleka jest tam od normy i nie sposób przewidzieć, co może się wydarzyć w przyszłości. Jak sądzi Pan Premier, o ile dobrze go zrozumiałem, to sposób, w jaki ten konflikt został rozwiązany, rodzi nowe trudności. Obserwuję zaś, że media tylko w minimalnym stopniu interesują się tym stanem rzeczy.

Zauważyłem także, że wśród dziennikarzy dominuje pesymistyczna postawa *à propos* tego, co może osiągnąć dziennikarstwo. Jest to dla mnie zaskakujące, gdyż macie w tym kraju Kapuścińskiego, dziennikarza niezwykle błyskotliwego i potrafiącego przewidywać przyszłość. Nie muszę Państwu przypominać, że zajęli się on problematyką Afryki na długo przed tym, jak ten rozległy kontynent stał się popularny i opisywany. Kapuściński dokonał tego już w latach sześćdziesiątych, w systemie komunistycznym. Poza tym, lektura jego książki była bardzo istotna dla każdego, kto interesuje się Iranem, ponieważ przepowiedział on w niej upadek mułłów.

Moja osobista konkluzja sprowadza się do przekonania, że pomimo tego, że struktura mediów może niekiedy wypaczać dziennikarskie ambicje, to mimo wszystko ci najbardziej gorliwi mają w nim wiele do zrobienia.

W sprawie bałkańskiej, na przykład, możemy mówić o udziale etyki. Dwóch dziennikarzy, Roy Gutman oraz Ed Vuilliamy, mój serdeczny przyjaciel, postanowili pisać wbrew konwencji, panującej w relacjach dziennikarskich z Bałkanów, która głosi, że wszyscy są tam tak samo źli. Kiedy dotarli do nich pogłoski o istnieniu masowych grobów, postanowili zająć się tą sprawą. Gutman pisał dla „News Day” a Vuilliamy dla „Observera” i „Guardiana”. Kiedy w Wielkiej Brytanii rozpoczął się proces w związku z tą sprawą, pojawiło się pytanie, czy zajmujący się sprawą dziennikarze powinni zeznawać o tym, w jaki sposób ją badali. Amerykański dziennikarz odmówił składania zeznań, tłumacząc się tym, iż mógłby zatracić swój tzw. obiektywizm. Ed Vuilliamy stawiał się przed obliczem sądu, ponieważ czuł, że to jego moralny obowiązek. Będąc dziennikarzem nigdy nie jest się całkowicie

neutralnym i kiedy giną ludzie, to trzeba coś z tym zrobić. Pokazywanie krwi może stać się esencją dziennikarstwa, lecz problem o wiele istotniejszy polega na tym, czyja krew jest przelewana. Chodzi nie tylko o wskazywanie na sprawców, lecz także na ofiary. I tutaj jest miejsce na obiektywizm, jednak jest to obiektywizm rozumiany tylko w pewien określony sposób: że obowiązkiem dziennikarza jest poszukiwanie prawdy. Dlatego więc dziennikarz musi sam podjąć decyzję, jakiego rodzaju tematy chce podejmować.

Wracając do tego, co powiedział Pan Tadeusz Mazowiecki, to moje pytanie brzmi: czy jest rzeczą niekorzystną mówienie o tym, co dzieje się na Bałkanach, w chwili, gdy sprawy są tak niespokojne? I z tego wypływa kolejne pytanie: Jakim źródłem informacji możemy ufać, abyśmy jako obywatele mogli powstrzymywać, przeciwdziałać czy zmieniać taką sytuację? Czy dziennikarstwo ogranicza się do opisywania stanu po fakcie? Czy jest może również analizą możliwości i poprzez to analizowanie wpływa na działania? Czy, z punktu widzenia dziennikarstwa, konflikt dobiega kresu w chwili, gdy krew przestaje płynąć, chociaż wiadomo jest, że sporo krwi może jeszcze popłynąć w przyszłości? To bardzo ważne pytania. Jeśli ktoś z Państwa chciałby zabrać głos, to zapraszam.

DYSKUSJA

Jan Piekło

Mam wrażenie, które poparte jest niezlicznie wypowiedziami kolegów, że media współczesne są w stanie głębokiego kryzysu. Dziennikarstwo współczesne stoi na rozdrożu i nie bardzo wiemy, w którym kierunku pójść. Słowa, które tutaj słyszeliśmy od Panów Szostkiewicza i Nowakowskiego, były słowami pełnymi frustracji. To były wypowiedzi odrobinę bezradne wobec tego, co dzieje się dziś na świecie. Rzeczywiście, ten problem istnieje, jednak jest to problem, który zafundowały nam media. To nie jest tak, że za wszystko są odpowiedzialni politycy i że media są takie niewinne: my tu jesteśmy po to, żeby przedstawiać fakty i właściwie za nic nie odpowiadamy. Ludzie postrzegają świat dokładnie w taki sposób, w jaki my im go pokażemy. Można by powiedzieć, że media stwarzają świat właśnie w tej chwili.

Tak szczerze mówiąc, to media są odpowiedzialne za parę wojen. Gdyby nie propaganda Goebbelsa, nie byłoby II wojny światowej, gdyby nie propaganda w czasie wojny na Bałkanach, to ta wojna nie byłaby możliwa. Gdyby nie Radio Tysiąca Wzgórz w Ruandzie, nie byłoby rzezi. Myślę, że musimy się nad tym poważnie zastanowić.

Jednocześnie bardzo się cieszę z tego, że pojawiają się jaskółki optymizmu. Nikt z nas nie wspomniał tutaj o tzw. Civil Journalism, obywatelskim dziennikarstwie. W bólach rodzi się praktykowane przez moich kolegów w różnych krajach, głównie zachodnich, zjawisko nazwane Conflict Journalism Resolution. Jest to odpowiedź dokładnie na to, o czym mówił Arne Ruth. Dobry dziennikarz to nie ten, który zobaczy krew na ulicy i łatwo o tym napisze, bo to jest zawsze „good news”, dobre na sprzedaż. Dobry dziennikarz to taki, który jest w stanie to przewidzieć i jest w stanie ostrzec. Myślę, że – niestety – jest prawdą, że niewielu mamy ludzi pokroju Kapuścińskiego, i że powinniśmy również o tym podyskutować.

Danuta Przywara

Wynotowywałam sobie w trakcie całego naszego spotkania słowa-klucze, słowa pozwalające na budowanie mostów, i okazują się one truizmem, ponieważ to co wynotowałam, to „dialog”, „partnerstwo”, „równe traktowanie” zarówno na poziomie personalnym jak i prawnym. I na końcu dochodzimy do kolejnego słowa-klucza, którym jest słowo „prawda”.

Chciałabym przypomnieć coś, co było najistotniejsze dla Komisji Prawdy i Pojednania w RPA, i czym właściwie wszyscy Panowie kończyliście swoje wypowiedzi. Jest to mianowicie idea, że dobry dziennikarz to jest dziennikarz dążący do prawdy. Głoszący tę prawdę aż do bólu. Może warto zastanowić się, myśląc o roli mediów, nad złamaniem tego błędnego koła. Media twierdzą, że dobrze sprzedają się tylko brutalne, krwawe, krótkie, upraszczające informacje. Ponieważ są o tym przekonane, oczekują również od świata zewnętrznego takich właśnie informacji.

Mówię o tym trochę z naszego doświadczenia. W momencie, gdy mamy do przekazania jakąś informację na temat naruszeń praw człowieka lub skutecznych metod ich ochrony, słyszymy: wyostrzcie, bo to się źle sprzedaje. No i pojawiają się organizacje, które zaczynają wyostrzać. A może warto byłoby wspólnie się zastanowić nad misją mediów, nad tym, że nie to, co się dobrze sprzedaje, lecz to, co przekazuje prawdę członkom społeczeństw o otaczającym nas świecie, będzie lepiej sprzyjało budowie pokoju. Być może to, co mówię jest oczywiste, ponieważ wszystkie te koncepty – dialog, partnerstwo, równość wobec prawa, prawda – znane są nam od dziecka. Spróbujmy więc przerwać to błędne koło.

A na koniec pytanie. Co to znaczy, że myśmy już tę wojnę zakończyli? „My” to znaczy prasa, „my” – właściciele prasy, „my” – społeczeństwo przyzwyczajone do żywienia się krwią, „my” – wszyscy? Kapuściński powiedział ostatnio w polskiej telewizji, że media relacjonują nam od 10 do 15% konfliktów, które rzeczywiście

mają miejsce na świecie. Dzieje się tak albo w interesie właścicieli mediów, bądź też jest to efektem wyścigu pomiędzy nimi, strachu, aby nie zostać wyprzedzonym. W Polsce został ogłoszony „Dzień dobrej informacji”. Czasami żałuję, że jest on tak mało popularny.

Marek Nowakowski

Dwa słowa komentarza. Zaczęliśmy popadać w tej dyskusji w trochę typowy dla intelektualistów ton narzekania – taka niedobra prasa, taka niedobra publiczność.

Po pierwsze, chciałbym przypomnieć, że Ryszard Kapuściński jest wielki jako pisarz, nie zaś jako dziennikarz. Sprawując dziennikarską profesję przysyłał on korespondencje z Angoli lub z Etiopii, dowodzące wyższości systemu socjalistycznego nad niedobrym kapitalizmem. Te informacje miały zazwyczaj sześć linijek i szły jako informacje agencyjne. Zaś jako pisarz, który opisuje i ma do dyspozycji przestrzeń książki, ma on ogromne doświadczenie i jest człowiekiem, który podejmuje refleksję na temat konfliktów i nieszczęść współczesnego świata. Nie porównujemy jednak dziennikarstwa współczesnego, szybkiego, z pisarstwem Ryszarda Kapuścińskiego, bo to tak, jakby się dziwić, dlaczego seicento nie ma skórzanych obić i złotych klamek z rolls royce’a.

Chciałbym jeszcze nawiązać do tego, o czym mówił Pan Jan Piekło, a mianowicie że media są winne, że to one zafundowały nam kryzys. Chcę wrócić do punktu wyjścia. Ja się staram, przynajmniej raz na dwa tygodnie, publikować jakiś poważny esej w którymś z działów tygodnika. Niestety, są robione badania i czyta to 10%, lub mniej, czytelników gazety. Jest to wciąż odrzucane. Wszyscy mamy te „słupki”, telewizja ma je codziennie, gazety co miesiąc. W momencie, kiedy prywatne medium schodzi pod kreskę, to jest koniec. W prywatnych mediach przede wszystkim mamy do czynienia z przedsięwzięciem biznesowym i nie mówmy o obowiązku dziennikarskim w zderzeniu z pustym talerzem. Bardzo często i tak wszystko kończy się tym pustym talerzem, ponieważ takie właśnie są reguły gry na tym świecie, czy nam się to podoba, czy nie. Media nie fundują nam tego krwawego skrzyżowania, o którym była wcześniej mowa. Według mnie odbiorca, i to nawet inteligent, nie jest w stanie przetrwać tej ogromnej ilości informacji, która do niego napływa. W efekcie zaczyna je odbierać w sposób coraz bardziej powierzchowny.

Czytelnicy tygodników są elitą, tak jak elitą są widzowie TVN 24. Mówimy tu o jakichś 200-300 tys. tych, którzy mają najwięcej czasu i najwięcej ambicji intelektualnych. I pomimo to, jeśli nie przeczytają oni czegoś, co ich zafascynuje w pierwszym akapicie tekstu, odwracają stronę. Czytają gazetę przez dziesięć minut,

ponieważ tyle mają czasu. Czemu się wobec tego dziwić, że zasada „na pierwszą stronę” została przejęta przez wszystkie media, włącznie z poważnymi. Nie jesteśmy w stanie opisać stopnia skomplikowania świata, gdyż jeśli opisujemy go w stopniu wystarczająco skomplikowanym, to jesteśmy odrzucani przez czytelnika lub widza.

Tutaj pojawia się kwestia bardzo wielu czynników edukacyjnych, które mają oddziaływać na obywateli: nie samych mediów, ale na pewno mediów publicznych w stopniu większym niż komercyjnych, gdyż mają one przewagę w postaci abonamentu. Jest to długa, mozolna praca, a i tak może ona nie przynieść oczekiwanych efektów ze względu na tak niską dyspozycyjność czasową odbiorcy. Nie jest on w stanie zająć się jednocześnie Darfurem, Ruandą i Afganistanem, i po przeczytaniu trzeciej informacji po prostu kończy te wojny. Tak, wojna w Afganistanie skończyła się w sensie odbioru.

Zadałem kilku kolegom pewne prowokacyjne pytanie i każdy, kto jest wydawcą jakiejś gazety wie, jaka jest odpowiedź. Z agencji przychodzą trzy informacje: po pierwsze, samochód na 5th Avenue przejechał psa Madonny, po drugie, zgwałcono trzydzieści kobiet w Bośni i po trzecie, w południowym Sudanie wymordowano siedmiuset ludzi. Która z tych informacji znajdzie się w gazecie? Uczciwie mówiąc: tylko pies Madonny, i to w dowolnej gazecie!

Ewa Łabno-Fałęcka

Ten obraz jest wyjątkowo fatalistyczny. Ja pracuję w firmie, która coś sprzedaje i już dawno zrozumieliśmy, że nie ma jednego rynku odbiorców, identycznego czytelnika czy widza. Rynek jest niesamowicie zatimizowany, zindywidualizowany. Okazuje się, że telewizja publiczna ma niesamowite problemy z przyciągnięciem młodych ludzi. Bo ta telewizja przestała ich już interesować. Wielkie wzięcie mają wszelkie kanały tematyczne, Eurosport, Discovery, MTV, czy inne.

Nie chciałabym mówić o polskim rynku, znam natomiast bardzo dobrze rynek niemiecki. „Frankfurter Allgemeine Zeitung” istnieje od dziesiątków lat i sprzedaje się w około 300 tys. egzemplarzy. I nic złego nie wynika z faktu, że „Bild Zeitung” czytany jest przez sześć milionów Niemców. „Frankfurter Allgemeine Zeitung” utrzymuje swoją linię i nigdy nie da na pierwszą stronę informacji o psie Madonny.

Dlatego proszę mówić, że rynek mediów jest zróżnicowany. Są gazety poważne i niepoważne. Musimy się zadeklarować, czy mówimy o mediach poważnych czy nie, i z całym szacunkiem dla Pana Marka, „Wprost” idzie w kierunku takiego me-

dium niepoważnego. Dla wielu jest to ciekawe, natomiast ja „Wprost” teraz już tylko przeglądam, tak samo jak czynię to z kolorowymi magazynami.

Arne Ruth

Temperatura na sali podniosła się, ale to dobrze. Wzmaga to nastroje, ale też i zainteresowanie. Najpierw zabierze głos Tomasz Bielecki.

Tomasz Bielecki

Trudno mi nie mówić o mojej gazecie i sądzę, że informacja o psie Madonny nie znalazłaby się na jej pierwszej stronie. Natomiast zostałyby tam zapewne umieszczona informacja o kobietach z Bośni, która jest czytelnikowi bliższa.

Chciałbym jednak częściowo zgodzić z tym, co mówił Pan Nowakowski na temat oczekiwań współczesnych czytelników i widzów, jednak chciałbym zaznaczyć, że jest w tym sporo winy samych mediów. Media mitologizują słupki popularności, które ukazują nam obraz czytelników oczekujących na informację prostą, przetra-wioną, najlepiej w postaci rysunkowej. Zapomina się tutaj o suchych liczbach. A przecież mamy w Polsce kilka tygodników społeczno-politycznych, które są tygo-dnikami opinii i które składają się nie z newsów, a z analiz, i które tłumaczą przy-czyny wydarzeń. I tak naprawdę łączny nakład tych tygodników jest chyba równy nakładowi tabloidów. Więc to nie jest tak, że są tylko czytelnicy, którzy oczekują prostej papki. Okazuje się, że istnieje cała rzesza ludzi, którzy co tydzień kupują za cztery złote z kawalkiem 120 stron analiz, więc myślę, że powinniśmy czytelników doceniać. Jak również powinniśmy docenić to, że w przypadku mediów, w ciągu ostatnich lat w Polsce, nie sprawdza się kopernikańska zasada, że zły pieniądz wy-piera dobry: nakład „Polityki” wciąż chyba rośnie, tak jak nakład „Przekroju”.

Mówił Pan też o tym, że przeciętny odbiorca mediów nie jest w stanie przeana-lizować wszystkich wiadomości, tego natłoku płynącego z całego świata, od Darfu-ru po Południową Afrykę i po żądania grenlandzkich Eskimosów. No i dlatego właśnie to my powinniśmy analizować, przetwarzać, to za to nam się płaci, my ma-my czas. Na szczęście, w Polsce mamy pluralizm, więc można sobie przeczytać in-ną analizę we „Wprost”, inną w „Newsweeku”, a inną w „Polityce”. Odpowiedź na pytanie, czy dziennikarz powinien podawać tylko fakty czy też je analizować, jest oczywista. Oczywiście, że analiza jest potrzebna, i to przede wszystkim w dzienni-karstwie prasowym, gdy dysponuje się odpowiednim czasem na jej sporządzenie. Przyznaję jednak, że w państwach konfliktowych, gdy ktoś ma kałasznikowa pod łóżkiem i zastanawia się, czy wyjść na ulicę czy nie, to rzeczywiście wtedy nie czyta analiz tylko newsy. Gdyby jednak pięć czy dziesięć lat wcześniej czytał rzetelne ana-

lizi tudzież miał kontakt z ludźmi, którzy je czytają, to być może teraz nie miałby tego dylematu z kałasznikowem.

Marek Nowakowski

Oczywiście, że polski rynek prasowy jest, jak każdy inny, segmentowany. Ewo, podałaś przykład „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, który ma 300 tysięcy nakładu, co oznacza, że sprzedaje mniej więcej tyle ile „Gazeta Polska” w Polsce, w porównaniu do ilości ludności. Tam jest trzykrotnie więcej czytelników, więc ilość ta byłaby równoważna stutysięcznemu nakładowi w Polsce. Dziennik ten może się utrzymać, ponieważ społeczeństwo niemieckie jest bardzo bogate i koszty reklamowe są dużo wyższe niż w Polsce. U nas taka gazeta utrzymuje się z trudem.

To jest bardzo proste: ja jestem w stanie, jako jedyne pismo w Polsce, wysłać reportera do Darfuru. Prasa niesłychanie ambitna, która przedstawia głębokie analizy, nie wyśle tam reportera, bo jej na to nie stać. To jest właśnie ten dramat.

Jednocześnie pismo, które ledwie żyje, jest podatne na wszelkie polityczne naciski, ponieważ wycofanie jednego reklamodawcy powoduje, że pracodawca nie ma z czego wypłacić pensji. To jest pierwszy powód, dla którego moja poprzednia wypowiedź była taka, a nie inna. Powód drugi jest taki, że segment rynku medialnego, jakim są tygodniki, ma problemy z wpasowaniem się w życie śpieszącego się człowieka XXI wieku.

Chcę wrócić do mojej podstawowej tezy, iż dziennikarz musi pisać tak, aby mógł być czytany. Naprawdę, nie ma sensu pisać dla pięciu kolegów. Oczywiście, z drugiej strony, dziennikarz musi podjąć próbę wyjaśnienia i analizy, ponieważ nie jest stojakiem do mikrofonu, tylko ma poglądy i za to mu się płaci, żeby użyć tego rynkowego języka, w który wpadliśmy. Ma przeżuć papkę, którą sprzedaje czytelnikowi i czytelnik, oczywiście, ma mu uwierzyć. Tyle tytułem *ad vocem*.

Sikose Mji

Pozwólcie, że zacznę wypowiedź jako ambasador Południowej Afryki, a potem jako zwykły obywatel. Jestem bardzo zadowolona z toczącej się dyskusji i mam bardzo interesujące pytanie. 13 i 14 września był z wizytą w Polsce, na zaproszenie Premiera Belki, Wiceprezydent Południowej Afryki, który przybył z około czterdziestoosobową delegacją, składającą się m.in. z Ministra Spraw Zagranicznych, Ministra Technologii, Rolnictwa i Handlu. Żadna z polskich gazet – tu mówię szczerze, że żadna, bowiem nie znalazła się nawet jedna – nie napisała o tym wydarzeniu choćby wzmianki. Mogę zrozumieć, że nie możecie sobie pozwolić na wysłanie reporterów do Darfuru, ale jeśli ktoś stamtąd przyjeżdża do Polski, to nie

wiem, w czym tkwi problem. Moje pytanie brzmi: dlaczego polskie społeczeństwo nie jest o tym informowane? Być może mój rząd, rząd bardzo ważnego państwa, nie powinien wydawać pieniędzy na wysyłanie czterdziestoosobowej delegacji dla poprawy dwustronnych relacji z Polską, skoro żadna prasa nie jest tym zainteresowana?

Zakończyłam wypowiedź w roli ambasadora, a teraz zamieniam się w aktywistę, ponieważ przysłam tu w charakterze bojownika.

Opisywanie kogoś bądź jako terrorysty, bądź jako wojownika pokoju, czyli w sposób, w jaki opisywany był Mandela i jego współpracownicy, leży w perspektywach ideologicznych. Racjonalści inwestujący w czas, na przykład Szwedzi ok. 1950 roku, opisywali to, co sami widzieli w Południowej Afryce, nie bacząc na to, co mówili o Mandeli inni. Dlatego też niezwykle ważne staje się rozwijanie przez dziennikarza własnego punktu widzenia, postępowanie w zgodzie z własnymi przekonaniem, ponieważ one w czasie przyciągną określonego klienta i konkretną publiczność, chociaż oczywiście nie stanie się to z dnia na dzień. Czynień te uwagi w ukłonie dla Pana Kapuścińskiego, którego wyjątkowo podziwiam, zwłaszcza za jego książkę o Afryce zatytułowaną „W cieniu słońca”.

Przechodzę teraz do ostatniego punktu. Kiedy dziennikarze mówią nam, że konflikt się skończył, wiedząc, że wcale tak nie jest, to co my właściwie możemy wynieść z tego typu dziennikarstwa? Chociaż wasi redaktorzy naciskają, nie mówcie nam tego. Jedną sprawą są deklaracje prezydenta Busha, który twierdzi, że działania wojenne są zakończone, i całkiem inną sprawą jest to, co robią dziennikarze. Pamiętacie, gdy wczoraj nasz rozmówca opowiadał o odmierzaniu czasu w Iraku, gdzie pierwsze dwa i pół miesiąca było zupełnie inne niż ostatnie dwa i pół miesiąca konfliktu? Wiemy, jak odmienne są od siebie te dwie fazy, jednak wiemy też, że sam konflikt ciągle się toczy. Czy coś by się stało, gdyby dziennikarze nam o tym otwarcie powiedzieli?

Arne Ruth

Chciałbym tylko dodać małe wyjaśnienie do tego, co mówiła Pani Mji na temat Południowej Afryki. Wczoraj podniesiony został temat poparcia krajów skandynawskich. To w praktyce oznaczało posłanie pieniędzy do ANC (African National Congress) przez trzy duże skandynawskie okręgi, choć były to „sekretnie” środki. Jaki był tego powód? Otóż podczas dyskusji politycznych w Szwecji w latach pięćdziesiątych, redaktorzy dwóch największych gazet codziennych – mojego własnego dziennika i innego, zwanego „Espressen”, niezależnie pojechali do Południowej

Afryki i napisali obszernie o rozgrywających się tam wydarzeniach. Od tamtej pory politycy szwedzcy musieli zająć się tym tematem. Myślę więc, że wpływ prasy jest zasadniczy, szczególnie w tak złożonych tematach.

Podczas II wojny światowej Szwecja zachowywała się służalczo wobec Niemiec i dlatego też Uganda zwracała uwagę, że Szwecja nie miała mandatu na obnoszenie się z moralnością podczas wydarzeń w RPA. Ta sytuacja jest dowodem na to, że dziennikarstwo nie jest ponad wszystkim, że jest częścią życia codziennego, naszych postaw, także postaw kolektywnych.

Róża Thun

Muszę zareagować na ten spicz Marka Nowakowskiego, który pokazuje totalnie amoralne dziennikarstwo, nie posiadające absolutnie żadnej misji.

I co ja mam z tego, że redakcję stać na wysyłanie jakiegoś dziennikarza gdzieś tam? Jeżeli on i tak potem ma mi pokazać obraz uproszczony, biało-czarny, nieprawdziwy. To jest tak naprawdę nudne! Bogu dziękuję, że jednak jest jeszcze kilku takich, którzy piszą dla tych pięciu osób, albo robią dla tych pięciu osób filmy mądre, prawdziwe i takie, które choćby były oglądane tylko przez nielicznych, to i tak rzeczywiście zmieniają świat i ogólną opinię.

Nie wiem, Panie redaktorze Nowakowski, czy Pan wie, że między „niesłychanie skomplikowane” a „prymitywne” jest jeszcze ogromny wachlarz możliwości. I bardzo proszę traktować nas tutaj poważnie.

Sam Pan powiedział, że Polska jest postkonfliktowa i że media nie powinny podżęgać do konfliktów. Pytam wobec tego, co robi „Wprost”, jeśli nie notorycznie podgrzewa atmosferę? I tu chcę się odnieść do sławetnego obrazka, jak to Pani Steinbach jedzie konno na Kanclerzu Niemiec oraz innych tego typu spraw.

Dziwię się, że Państwo w tym szlachetnym pomieszczeniu i mądrym środowisku tak łagodnie przyjmują takie wystąpienia – no, już nie wiem, jak to inaczej powiedzieć – nieprawdziwe, uproszczone i właściwie populistyczne. Wstyd mi Pana zacytować, bo Pani Ambasador właśnie wróciła na salę, ale co to jest za mówienie, że gwałty i rzezie to taka normalna rozrywka towarzyska w Afryce? Panie redaktorze, obojętnie skąd Pan pochodzi, proszę takich słów nie mówić. Wiem, że one znowu coś tam upraszczają, ale tak mówić nie wolno.

Arne Ruth

Niestety, musimy zakończyć tę gorącą wymianę zdań. A teraz bardzo proszę o zwięzłe komentarze.

Stefan Wilkanowicz

Ja chciałem poruszyć kilka tematów, ale ograniczę się tylko do jednego. Mianowicie, największy francuski dziennik „West France” ma bardzo precyzyjny wewnętrzny kodeks etyczny. Mowa w nim o tym, w jaki sposób pisać o okrucieństwach, gwałtach itd. Mam ten kodeks i jest on naprawdę bardzo mądrze pomyślany. Chcę dodać, iż jest to jedyny z francuskich dzienników, który się trzyma doskonale i powiększa ilość czytelników. Kiedy obejrzałem „Pasję” Gibsona, zadzwoniłem do jednego ze znajomych dziennikarzy właśnie z „West France” i zapytałem go, czy w świetle tego kodeksu Gibson mógłby pracować u nich choćby jeden dzień. Odpowiedź brzmiała – absolutnie nie.

Dr Jolanta Ambrosewicz-Jacobs

Mam pytanie-komentarz do Pana redaktora Jerzego Marka Nowakowskiego. Bliska mi była wypowiedź Pana Tomasza Bieleckiego dotycząca nieposłuszeństwa wobec oczekiwań czytelników i szefów. Przyszedł mi wtedy do głowy pozytywny przykład Anny Bikont, która wydaje mi się właśnie taką nieposłuszną dziennikarką, dążącą do prawdy. Miał Pan inne zdanie na ten akurat temat, lecz Pańska wypowiedź o tym, że dziennikarstwo polega także na docieraniu do bolesnej prawdy i na rozdrapywaniu ran, jest mi też bardzo bliska. Koncentrowaliśmy się na konfliktach militarnych lub powojennych, a nie mówiliśmy o konfliktach ukrytych. Według mnie rola dziennikarstwa polega właśnie na docieraniu do prawdy o konfliktach, o ich prawdziwych źródłach, gdyż aby powstał jakikolwiek dialog, to musimy mówić o tych samych rzeczach. Oriana Fallaci jest chyba przykładem dziennikarstwa emocjonalnego, idealizującego jedną stronę, i na pewno czarno-białego. Pan wyraził dla niej szacunek, jednak jednocześnie mówił Pan o tym, że postawy dziennikarzy nie mogą być rasistowskie. Widzę tu pewien konflikt w Pana wypowiedzi, więc bardzo proszę o komentarz.

Janina Ochojska

W swojej pracy kieruję się dwoma ideami: wierzę w to, że każdy z nas może zmieniać świat na lepsze i wierzę w to, że każdy z nas swoją postawą wobec problemów, które spotyka, wpływa na los krajów pozostających w konfliktach. Ludzie sądzą, że Czeczeni to terroryści i w związku z tym nie warto im pomagać. Jeżeli chodzi o Darfur, to w Polskiej Akcji Humanitarnej wiedzieliśmy o nim o wiele wcześniej niż ukazała się jakakolwiek informacja w polskich mediach. Przykład, który podała Pani Ambasador, nie dziwi mnie w zupełności, a to dlatego, że nas w Polsce w ogóle nie interesują kraje afrykańskie. Uważam, że media mogą mode-

rować konflikty, informując bezstronnie, i na przykład po Biesłanie powinny były mówić także o wojnie w Czeczenii – nie pozwolić na to, żeby wybuchła nienawiść do Czeczenów.

Krystyna Kurczab-Redlich

Chciałabym odnieść się do tematu dziennikarstwa niezależnego, które reprezentuję i którego kurczowo się trzymam. Nie obchodzi mnie, kto mnie będzie drukował albo pokazywał. Ja i tak będę robiła to, co uważam za stosowne i będę starała się być maksymalnie obiektywną. Cieszę się jednak, że znajdują się media, które zgadzają się z moim punktem widzenia. Innym problemem związanym z Czeczenami jest problem natury moralnej. Ogromnie trudno jest pokazywać terrorystę, który walczy o pokój. Czeczeni nie pragną niczego więcej jak tego, żeby ich przestać zabijać. To, co mnie najbardziej gnębi, i na co nie znalazłam odpowiedzi, to pytanie o granice terroru i o odpowiedzialność za to, że istnieje w takim nasileniu. Czy my, naszym „przyklejaniem się” do telewizorów właśnie wtedy, gdy leje się krew i naszym brakiem zainteresowania, gdy konflikt się wycisza, nie powodujemy przypadkiem eskalacji terroru? Na kim ciąży odpowiedzialność? Dlaczego jest tak, że ja, nie broniąc Czeczenów tylko pokazując same fakty z nimi związane, narażam się na zarzut podważania racji stanu i apologety w stosunku do Kremla. Kiedy jesteśmy proczeczeńscy, a kiedy antyrosyjscy? Nie chcemy tworzyć takiego problemu, staramy się być tylko obiektywni i niezależni. Korzystając z okazji, chciałam Państwa zaprosić na krótki dokument (trudno nazwać go filmem), który nazywa się „Czeczeni po Biesłanie”. Był on zrobiony w Polsce, jednak mówi wiele o Czeczenii.

Arne Ruth

Teraz uczestnicy panelu powinni mieć szansę, by wyjść naprzeciw gorącej temperaturze tej dyskusji. Rozpocznie Pan Pilis.

Mariusz Pilis

Jestem bardzo zbudowany tą dyskusją z kilku powodów. Pierwszy z nich, to wypowiedź Pani Ambasador o braku relacji medialnej z wizyty poważnych osobistości z Afryki oraz słowa Pani Ochojskiej, która twierdzi, że Polaków nie interesują konflikty w Afryce. Ja postawiłbym tezę, że Polaków nic nie interesuje, że nie interesują nas żadne sprawy zagraniczne. Jedynym kluczem, aby wzbudzić zainteresowanie Polaków, jest klucz sensacyjności, krwi i dużej ilości trupów. I z przykrością muszę stwierdzić, że jesteśmy aktualnie – i tu zgadzam się z Panem Nowakowskim – jedynym społeczeństwem postkonfliktowym, które nie wypracowało sobie jeszcze modelu dziennikarstwa. Pytanie o stan polskiego dziennikarstwa wydaje mi się dzisiaj bardzo ważne. Stan informacji w Polsce jest daleki od ideału, co zresztą ta dys-

kusja potwierdziła. W krajach, które miały okazję i czas na wypracowanie sobie norm dotyczących dziennikarstwa, ta sprawa wygląda trochę inaczej.

Marek Nowakowski

Zacznę od tego, co mówiła Róża Thun, ponieważ mam takie wrażenie, Różo, że znamy się na tyle długo, że nie uważasz mnie za idiotę. Być może ja źle przemawiam, ale o rozrywkach i popularności mówiłem w cudzysłowie, robiąc kalkę z pewnego sposobu myślenia. Wydaje mi się, że nie usłyszałaś tego cudzysłowu. Chyba znowu nie zrozumieliśmy się w kwestii przekazu: ja mówiłem o mediach masowych, o sposobie przekazywania rzeczywistości w mediach masowych. Nadal bardzo chętnie czytuję „Tygodnik Powszechny”, „Arkana”, „Międzynarodowy Tygodnik Polityczny” i parę innych czasopism, ale to są dwie różne kategorie i te czasopisma skierowane są do bardzo wąskiej grupy odbiorców. Z przyjemnością dyskutujemy co tydzień z Grzegorzem Miecugowem o polityce międzynarodowej, ale gdybym się dowiedział, że oglądało to dwa miliony ludzi, to chyba bym pomyślał, że ktoś się pomylił w przekazie. Mówimy o dwóch różnych kategoriach.

Natomiast jeżeli mówisz, że korespondencje z Darfuru były idiotyzmem, to przyznaj, że ich po prostu nie czytałaś. Przepraszam, ale to jest obraźliwe wobec dziewczyny, która ryzykowała życie, żeby to napisać. I na tym koniec. Tego typu dyskusji nie chciałbym podejmować, bo to jest trochę bez sensu.

Natomiast z żalem konstatuje to dramatyczne uproszczenie, że nikt nie chce czytać, że nikt się nie interesuje, jak mówiła Pani Janina Ochojska. Nie mówiłem o niszowych wydawnictwach, mówię o tym, że na dowolnym kolegium redakcyjnym w masowym wydawnictwie, gdy wspomina się o Czeczenii, to natychmiast pada pytanie działu marketingu o to, kto o tym będzie czytał. I jeżeli przyjeżdża wiceprezydent z Afryki Południowej opowiadać o problemach afrykańskich, to w każdej gazecie pada samo pytanie: kto to będzie czytał. Owszem, Ewo, czytasz „Gazetę Wyborczą”, jednak ta gazeta ma codziennie 100 stron do zapełnienia i gdyby ukazywała się raz na miesiąc, to prawdopodobnie też by uciekała od tych tematów.

Niestety, taka jest rzeczywistość masowych wydawnictw. Przetwarzamy masówkę, którą mamy w wiadomościach telewizyjnych i ja się zgadzam, że to nie jest dobre zjawisko. Natomiast pytanie dotyczy tego, co mamy zrobić, żeby ta recepcja rzeczywistości była inna. Uważam, że nie jesteśmy w stanie zrobić zbyt wiele, ponieważ jest to wieloletni proces. Uważam też, że typowe inteligentkie biadanie na temat głupiego narodu jest dowodem głupoty inteligencji, a nie narodu, ponieważ nie znajdujemy, najzwyczajniej w świecie, języka przekazu. I na koniec pytanie

o Orianę Fallaci, które też jest wynikiem niezrozumień. Ja mówiłem, że jest świetna pisarsko, natomiast trudna do przyjęcia merytorycznie. Jako żywo, można w pięknym stylu napisać rzeczy wątpliwe, i to było moje zastrzeżenie.

Tomasz Bielecki

Chciałbym jeszcze raz podkreślić, że zagrożenia dla dziennikarstwa są oczywiście duże, ale nie jest aż tak źle, ponieważ „Rzeczpospolita”, „Gazeta Wyborcza”, „Polityka”, „Newsweek” nie są pismami niszowymi. Pisze się w nich o Czeczenii i o Afryce Południowej, choć może niewystarczająco. Ktoś jednak czyta korespondencje z wyborów południowoafrykańskich. Nie są to pisma niszowe, nie są finansowane przez rząd czy różne organizacje promujące pokój, i żyją z tego, co zarobią. Jest więc mnóstwo czytelników, którzy chcą czytać teksty trudniejsze, bardziej skomplikowane i które odróżniają się od papki podawanej w tabloidach, czy w niektórych mediach elektronicznych.

DEBATA VI

Rola instytucji i organizacji międzynarodowych w odbudowie państw postkonfliktowych. Konieczność demokratyzacji?

Katarzyna Kolenda-Zaleska, moderator

Witam wszystkich po przerwie. Dyskusja o mediach i dziennikarzach bardzo podniosła temperaturę na sali. Mam nadzieję, że tak żywiołowa dyskusja będzie kontynuowana przy okazji obecnego tematu: „Rola instytucji i organizacji międzynarodowych w odbudowie państw postkonfliktowych i konieczność demokratyzacji”. Wczoraj dyskutowaliśmy o tym, jaka powinna być rola takich organizacji, jak ONZ i zastanawialiśmy się nad sensem ich istnienia. Dzisiaj będziemy rozmawiać o organizacjach, które pracują w samych rejonach konfliktu, i które, choć nie posiadają takich narzędzi jak ONZ, robią być może dużo więcej od niej. Będziemy rozmawiać o tym, w jaki sposób pomagać: tylko materialnie czy też lecząc bliźny emocjonalne narodów, które choć wyszły z konfliktu militarnego, wciąż pozostają w konflikcie wewnętrznym. Rozpocznie Pani Janina Ochojska, prezes fundacji Polska Akcja Humanitarna (PAH), a następnie wypowiedzą się: Pani Agnieszka Kosowicz, pełnomocnik do spraw informacji Wysokiego Komisarza do spraw Uchodźców (UNHCR) i Pan Antonio Tarelli, minister pełnomocny MSZ-u Włoch oraz były ambasador Włoch w Macedonii.

Janina Ochojska

W moim wystąpieniu będę, z oczywistych powodów, mówiła o roli organizacji pozarządowych i bazowała na doświadczeniu PAH z pracy w Bośni, Serbii, Kosowie, Czeczenii, Afganistanie i Iraku. Z naszego doświadczenia niesienia pomocy innym ludziom nauczyliśmy się tego, co najważniejsze, co jest podstawą wszelkiego pomagania. Po pierwsze, pomoc jest wyrazem solidarności z potrzebującymi i buduje społeczeństwo obywatelskie po obu stronach – pomagających i beneficjentów. Po drugie, pomoc powinna łączyć ludzi i powinna być dzieleniem się, a nie daniem czegoś, co nie jest nam potrzebne. I po trzecie, pomoc musi szanować godność ludzką, wspierać ją, a nie niszczyć. Pomoc udzielana bez przestrzegania tych zasad może człowieka upokorzyć.

Podstawą do sprawnego funkcjonowania w przyszłości na terenach postkonfliktowych wszystkich elementów budowy pokoju, a więc m.in. edukacji, służby zdrowia, pomocy społecznej oraz zrozumienia kierunku przemian, jest istnienie społeczeństwa obywatelskiego.

Rolą organizacji pozarządowych (NGO's) jest odbudowa społeczeństwa obywatelskiego poprzez inicjowanie i wspieranie aktywności społecznej, a dalej poprzez wspieranie lokalnych organizacji pozarządowych. Jest to szczególnie ważne w tych krajach, w których poczucie odpowiedzialności i aktywności społecznej zostało zniszczone przez system totalitarny, lub gdzie w ogóle nie ma takich tradycji.

Przy odtwarzaniu systemu edukacji, pomocy społecznej i opieki medycznej ważna jest odpowiedź na pytanie, jaki był system przed konfliktem. Dlaczego tak a nie inaczej wyglądał, jak był skonstruowany, co sądzili o nim ludzie? Czy system był oparty głównie na państwie, czy na więzach społecznych? Czy był narzucony, czy „uszyty” dla miejscowych ludzi? Czy uzależniał, czy stwarzał możliwości samodecydowania, samoorganizowania się? Czy deprawował? Zrozumienie przyczyn, uwarunkowań społecznych, historycznych, kulturalnych jest pierwszym ważnym elementem procesu odtwarzania.

Wzmacnianie struktur, które są podstawą sprawnego działania usług społecznych w przyszłości, powinno rozpocząć się już na etapie szybkiej pomocy *emergency*. Myślę, że wszyscy tu obecni podzielamy przekonanie o konieczności upodmiotowienia beneficjentów już na etapie *emergency*, angażowania ich w planowanie i realizację różnych działań. Jednak kiedy przychodzi do kolejnej kryzysowej sytuacji, ulegamy pokusie zachowań „technokratycznych”, podświadomego przekonania, że sami zrobimy to sprawniej i szybciej. Wyręczanie odbiorcy pomocy w czynnościach, które może wykonać sam, nadmierne korzystanie z zagranicznych pracowników czy wolontariuszy zabija inicjatywę i wolontariat lokalny.

W Albanii, gdzie schroniło się ponad 400 tys. uchodźców z Kosowa, byliśmy świadkami przywożenia zagranicznych wolontariuszy do prostych prac przy zakładaniu obozu. Wolontariusze okopywali namioty i wysypywali żwirem ścieżki, podczas gdy pozbawieni zajęcia uchodźcy stali beczynnie obok. Tak samo było w Inguszetii, do której przybyło ponad 250 tys. uchodźców z Czeczenii. Obozy dla nich organizowano i prowadzono bez udziału samych zainteresowanych. Przecież wśród uchodźców są prawnicy, lekarze, nauczyciele, wychowawcy, inżynierowie. Wciągnięcie ich od samego początku w zarządzanie obozem, pilnowanie porządku, organizowanie leczenia i nauczania pozwoli w przyszłości na łatwiejsze przekazanie im samodzielnych zadań. Co więcej: pozwoli na uczenie ich nowych metod pracy, pomoże w zdobyciu zaufania do organizatorów pomocy i da możliwość rozbudzania w nich inicjatywy.

Kolejnym elementem, który pozwala na sprawne działanie odtworzonej infrastruktury społecznej, jest współpraca z władzami lokalnymi i administracją państwową. Prawdą jest, że w krajach postkonfliktowych struktury te często nie są efektywne. Niemniej jednak ta współpraca stanowi podstawę wzajemnego uczenia się i umacnia poczucie odpowiedzialności władz lokalnych za społeczności którym służą.

W gminie Kacanik w Kosowie, gdzie działała nasza Misja, widziałam efekty braku współpracy pomiędzy administracją UNMIK (United Nations Mission in Kosovo) i lokalną administracją, która do tego stopnia przyzwyczała się do bycia wyręczaną, że nie mogła nawet sama podjąć decyzji o wywozie śmieci. Jestem pewna, że administratorzy UNMIK robią wszystko lepiej, ale wyobraźmy sobie, co stanie się po ich wyjeździe. Wolontariusze PAH zorganizowali w tej sytuacji wspólną akcję sprzątania świata wraz z miejscowymi szkołami, co pobudziło inicjatywę lokalną.

Współpraca NGO's z lokalną administracją jest świadectwem dla miejscowej ludności, że twórcza współpraca z władzą i proceduralne egzekwowanie demokracji ma sens. Współpraca ta powinna rozpocząć się od momentu przybycia NGO's na tereny postkonfliktowe. Miejscowa administracja musi być poinformowana i wciągnięta do wspólnych działań. Brak takiej współpracy powoduje nieporozumienia (administracja nie wie, co się dzieje na ich terenie) oraz potęguje chaos, opóźniając powrót do normalności.

To samo dotyczy współpracy z lokalnymi NGO's. Każda organizacja, która działa na terenie objętym konfliktem lub postkonfliktowym, powinna traktować lokalne NGO's nie tylko jako partnerów, ale także jako wartościową inwestycję. Musimy pamiętać, że gdy my wyjedziemy, te organizacje tam zostaną i będą kontynuować rozpoczętą przez nas pracę. Ta świadomość, że współpraca jest ograniczona w czasie, że w każdej chwili będzie trzeba „przejąć” zadania, jest dla miejscowej ludności mobilizująca, zapobiega uzależnieniu się od pomocy. Współpraca z nimi powinna polegać na ciągłej wymianie wiedzy i uczeniu się od siebie (my zawsze uczymy się od nich lokalnej specyfiki).

Koordynatorzy naszych programów wodnego i sanitarnego w Czeczenii z początku bez przekonania wypełniali formularze dla rozliczeń pracowników z ilości rozwiezionej wody czy wywiezionych śmieci. Uważali to za zbędną „biurokrację”. Po pewnym czasie, widząc jak wielkie znaczenie w zarządzaniu ma system sprawozdawczości i raportowania, sami go udoskonalali. Wspólnie tworzymy budżety kolejnych projektów, zaś oni przejmują coraz większą odpowiedzialność. Gdy zdarza

się tak, że w danym kraju nie ma jeszcze lokalnych NGO's, dobrym startem jest zachęcanie miejscowej ludności do pracy wolontarystycznej. W krajach postkomunistycznych brak jest zachowań społecznych, brak poczucia odpowiedzialności związanym z wolontariatem. W Groznm prowadzimy program produkcji i dystrybucji wody pitnej. Dając ludziom „poduszkę” wodną chcemy, żeby się wokół niej zorganizowali, żeby sami monitorowali wlewanie i pobieranie wody. Te „poduszki” są załączkiem inicjatywy społecznej i wolontariatu.

Ludzie bardzo szybko przyzwyczajają się do tego, że ktoś coś za nich zrobi. A co dopiero mówić o uchodźcach, którzy niedawno przeszli traumę utraty domu i najbliższych. Odbiorcy pomocy od samego początku powinni uczyć się odpowiedzialności, współdziałania, zaś organizacja niosąca pomoc powinna rozbudzać w nich ducha inicjatywy: zróbmy to razem, pomóżmy sobie sami.

Następnym niezwykle ważnym elementem jest budowanie solidnych podstaw pokoju i zaufania społecznego – zarówno na etapie *emergency*, jak i na etapie realizacji programów rozwojowych na terenach, gdzie miały miejsce konflikty etniczne. Niezbędne jest jednocześnie wspieranie ofiar cywilnych wszystkich stron konfliktu oraz apolityczność i niezależność działań NGO's. Przestrzeganie tej zasady nie zawsze jest łatwe, zwłaszcza gdy ma się do czynienia ze sprawcami i ofiarami. Doświadczenie Bośni czy Kosowa pokazuje jednak, że te role łatwo się zmieniają. Po powrocie uchodźców z Albanii do Kosowa, działania NGO's podejmowane na rzecz Serbów nie były wystarczająco konsekwentne, by przełamać przekonanie, że społeczność międzynarodowa popiera wyłącznie interesy Albańczyków. Zaowocowało to nieufnością Serbów mieszkających w enklawach w Kosowie wobec NGO's. Nasze pierwsze wizyty i deklaracje pomocy w enklawie serbskiej w Strpcach w Kosowie początkowo budziły dużą nieufność. Jednak po dwóch latach naszej pracy na rzecz obu społeczności doszło do wspólnego meczu koszykówki pomiędzy Albańczykami i Serbami. Nie powiem, kto wygrał, bo nie jest to ważne.

Innym czynnikiem wspomagającym sprawne odtworzenie infrastruktury społecznej jest nawiązane zrozumienie i bliskość pomiędzy pomagającymi i beneficjentami. Dużą barierą dla NGO's w pracy na terenach postkonfliktowych są odmienne warunki kulturowe, nieznajomość miejscowego języka, zwyczajów. Ważne jest, aby w naszej pracy nie kierować się naszym wyobrażeniem o potrzebach społeczności, ale jej rzeczywistymi potrzebami. Żeby nie kopiować wzorców przywiezionych z naszych krajów, ale dostosowywać sposób pomocy i styl pracy do

miejscowych warunków. Kompetencje NGO's nie wynikają z doświadczenia pracy w innym kraju, lecz z otwarcia się na miejscowe warunki. Nasza praca powinna przede wszystkim starać się tworzyć trwałe podstawy dla normalności i dla rozwoju lokalnego wolontariatu i lokalnych NGO's oraz wspierać ich poprzez dzielenie się doświadczeniem. Zbieżność doświadczeń historycznych z krajami bałkańskimi czy byłego ZSRR, bliskość geograficzna i kulturowa, znajomość języka beneficjentów są dużą pomocą w działaniach PAH na tych terenach. Dają łatwość w pokonywaniu barier mentalnych, pomagając nam w prawidłowym doborze form pomocy i sposobu pracy w terenie.

Ważnym elementem stymulującym rozwój danego kraju jest to, aby pomiędzy pomagającymi i otrzymującymi nie powstawał zbyt duży dystans. Czasami obecność NGO's może być zaprzeczeniem pomocy, ponieważ może powodować upośledzenie naturalnego mechanizmu rozwojowego kraju – zwłaszcza wtedy, kiedy jedynym powodem obecności jest swoista „moda” na obecność. Po konflikcie kosowskim w 1999 roku w samym Kosowie było ponad 400 organizacji skupionych głównie w Prisztinie (stolicy) i Prizrenie (piękne, stare miasto). W tym tłoku ważna staje się krótkoterminowa działalność sama w sobie, a nie ludzie i ich przyszłość. W efekcie np. nauczyciele, prawnicy, urzędnicy czy inne osoby wykształcone, postawione przed wyborem pracy za marne pieniądze w swoim zawodzie, podejmują się prac pomocniczych (kierowca, asystent, tłumacz, ochroniarz) przy organizacjach międzynarodowych za dużą wyższą pensję. Partnerska współpraca zmniejsza dystans pomiędzy pomagającymi i beneficjentami. Nasza organizacja jest mała, ale nasz rozmiar pozwala nam na bardziej osobisty kontakt z potrzebującymi. Bardzo duże organizacje również są potrzebne, ale ich rola jest zupełnie inna. Sprawdzają się jako donatorzy i koordynatorzy dla małych organizacji, które operują w terenie. Wiele mówi się o marnowaniu środków, o rozrośniętej biurokracji i nadmiarze sprzętu, pochłaniających duże pieniądze. Rozwiązaniem, być może, byłoby ustalenie wyraźnego podziału pomiędzy organizacjami operacyjnymi, bardzo mobilnymi i pracującymi w terenie oraz organizacjami donatorsko-koordynacyjnymi.

Zamożność oraz standardy płacowe i socjalne międzynarodowych organizacji humanitarnych dalece odbiegają od warunków w krajach postkonfliktowych i w ten sposób tworzy się między nimi dystans. Różnice te są zrozumiałe, bowiem trudno oczekiwać, by profesjonalista z Zachodu był w stanie w długoterminowej perspektywie zrezygnować z normalnych (dla niego) warunków pracy. Ten dystans powoduje, że wielkie organizacje są traktowane raczej jak dobry wujek, który da, a nie

jak partner, do którego trzeba dorastać. W konsekwencji wzmacnia to postawy roszczeniowe beneficjentów i prawie całkowicie wyklucza powstawanie lokalnego wolontariatu.

Pamiętam taką sytuację z obozów dla uchodźców czeczeńskich w Inguszetii, gdzie w kwietniu 2000 roku (obozy powstały pod koniec 1999 r.) zakładaliśmy przedszkola. Wydawałoby się, że uchodźcy powinni taką inicjatywę, służącą ich dzieciom i matkom, przyjąć z entuzjazmem. Tymczasem za rozstawienie namiotów, zrobienie podłogi, uprzątnięcie terenu wszyscy żądali opłaty i podstawowym argumentem tych roszczeń było to, iż „wszyscy płacą”. Udało nam się ich przekonać argumentem, że my nie jesteśmy „wszyscy”, lecz małą polską organizacją, która jeszcze niedawno sama żyła w tym systemie, ale i tak musieliśmy obiecać, że postawimy stół pingpongowy.

Z całą stanowczością mogę powiedzieć, że społeczności lokalne, miejscowe władze i NGO's mogą stać się odpowiedzialne i przygotowane do samodzielnego kształtowania systemu opieki społecznej, oczywiście z pomocą środków i ekspertyzy z zewnątrz. To ludzie wiedzą, co jest dla nich najlepsze. Dlatego ważne jest, aby od samego początku pobudzać w nich wolę działania i odpowiedzialność poprzez szacunek, zrozumienie i partnerstwo. Naszą rolą jest wspieranie budowy solidnych podstaw pokoju i zaufania społecznego. My, pracownicy organizacji humanitarnych musimy pamiętać, że jesteśmy na tych terenach tylko przez chwilę.

Antonio Tarelli

Na początku chciałbym podziękować Stowarzyszeniu Willa Decjusza za miłe zaproszenie do uczestniczenia w tej, jakże interesującej i zorganizowanej w najbardziej odpowiednim momencie, konferencji. Cieszę się również, że zabieram głos tuż po tym, jak dwie Panie opowiedziały nam o roli, jaką pełnią organizacje NGO's oraz UNHCR, oraz po mądrym podsumowaniu Pana Mazowieckiego. Biorąc pod uwagę, że wczoraj obok innych tematów, które omawialiśmy, przedyskutowaliśmy dogłębnie sprawę wojny w Bośni, w swoim dzisiejszym wystąpieniu ograniczę się do poruszenia kwestii dwóch ważnych wydarzeń, do których doszło na Bałkanach. Zwłaszcza w Macedonii, która znana jest społeczności międzynarodowej jako była Federalna Jugosłowiańska Republika Macedonii, w której służyłem przez cztery lata, od 1999 do 2002 roku. W pierwszej kolejności omówię sprawę konsekwencji i reperkusji nałożonych na tę republikę po kryzysie w Kosowie i odniosę to do wewnętrznego konfliktu w Macedonii. Konfliktu, którego sam byłem świadkiem, i w który sam byłem zaangażowany jako przedstawiciel mojego kraju. Były to lata

burzliwe. Nie będę tu przywoływał dobrze znanych okoliczności tego kryzysu, ani też mówił o zasadności i powodach interwencji NATO. Po tym, jak upadły próby rozwiązania konfliktu na drodze dyplomatycznej, po rozmowach w Paryżu, faktem jest, że do 25 marca, pamiętnego dnia, kiedy to NATO rozpoczęło powietrzną interwencję, 210 tys. albańsko-macedońskich uchodźców przekroczyło macedońską granicę, 50 kilometrów od Pristiny, lecz 25 od Skopie.

Napływ uchodźców z Kosowa zwiększył się gwałtownie i przybrał formę biblijnego exodusu. Miesiąc później, w kwietniu, liczba ta zwiększyła się o 200 tysięcy, zaś w maju o dalsze 300 tys. Nie będę rozwodził się tutaj nad złożoną i trudną sytuacją, która trwała tam od zimy aż do końca kwietnia. Faktem jest jednak, że całe tysiące ludności wędrowały w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia, z dala od strachu, gróźb i samosądów YNA – Narodowej Armii Jugosłowiańskiej, także z dala od groźby dostania się w kleszcze, z jednej strony UCK (Kosowskich Bojowników o Wolność), a z drugiej YNA.

Jest również faktem, że na terenie Kosowa przeprowadzono zakrojone na szeroką skalę czystki etniczne. Oprócz tego, reżim Miloszewicza dopuszczał się zniszczeń i dewastacji pod pozorem pomocy w przesiedlaniu ludności, po to, by umożliwić wojskowym przygotowanie się do bitwy.

Rzeczą, na którą chciałbym zwrócić uwagę, jest chwalebna i kosztowna akcja, jakiej podjął się UNHCR. Akcja, w wyniku której znalazły chleb i schronienie masy uchodźców, którzy przybyli do Macedonii, a także ci – znacznie bardziej liczni – którzy przybyli do Albanii. Międzynarodowa akcja pomocy była wspomagana przez liczne ofiarne kraje, które dostarczyły olbrzymią pomoc finansową i materialną. Lecz chcę jednocześnie wyrazić wielkie uznanie dla organizacji pozarządowych, które nie ustawały w wysiłkach, by załagodzić nieszczęsną sytuację uchodźców (którzy często przybywali nawet bez dokumentów).

Zainicjowano też szereg skutecznych działań dyplomatycznych, które miały nakłonić rząd macedoński, by pozostawił otwarte granice z Kosowem, i otworzył je tam, gdzie pozostawały zamknięte. Po to, aby rozwiać obawy przywódców rządu w Skopie, że napływ uchodźców z Kosowa gwałtownie naruszy równowagę etniczną (gdy ich liczba zbliży się do 50% populacji). Po to, aby dać do zrozumienia, że uchodźcy ci nie pozostaną w Macedonii w nieskończoność, liczne kraje Zachodu, takie jak USA, Kanada czy większość krajów UE oraz Turcja, wypracowały i, oczywiście, wcieliły w życie przemyślane programy roztoczenia opieki nad połową uchodźców i udzielenia im schronienia w obozach UNHCR w Macedonii.

Dzentelemeńska umowa, oparta na tajnych i niepisanych podstawach, została wypracowana między albańską częścią przywódców a częścią przywódców sławo-macedońskich; zdają sobie sprawę, że Macedończycy nie lubią tego rodzaju definicji, ale żeby odróżnić macedońskich Albańczyków od niemacedończyków, niemacedońskich Albańczyków, muszą korzystać z tej formuły. Początkowo rząd, oczywiście pod przewodnictwem większości owych Sławo-Macedończyków, miał bardzo niewielkie zaufanie do albańskich partnerów, ponieważ sytuacja była tak skomplikowana, że to właśnie albańska partia uczestniczyła w rządzie, lecz zaufanie do niej było nikłe.

Możliwy do zaakceptowania kompromis zakładał, że nie będzie tolerowany handel bronią, zaś wojownicy UCK mogą w razie potrzeby otrzymać schronienie i pomoc medyczną, pod takim jednak warunkiem, że nie użyją żadnej politycznej propagandy w celu rekrutowania młodych ludzi spośród Albańczyków.

Od lata 1999, po zaprzestaniu działań i odwróceniu żołnierzy YNA, uchodźcy zaczęli wracać do swoich domów, a rozmiar tego przepływu ludności w odwrotnym kierunku rósł w ciągu następnych miesięcy. Ponieważ wiele gospodarstw i domów zostało zniszczonych podczas wojny, obowiązkiem UNHCR było umieszczenie uchodźców w nowych tymczasowych obozach w Kosowie do czasu, aż odbudowa dobiegnie końca.

Oczywiście, choć mówię to z przykrością, chęć zemsty doprowadziła do licznych podpałów i okupacji serbskich domów, a tymi, którzy ucierpieli najbardziej, byli Romowie, oskarżani o kolaborację z Serbami. W efekcie tych zamieszek nastąpił nowy exodus uchodźców romskich, którzy przekraczali granicę, kierując się w stronę Macedonii.

Te ostatnie wydarzenia zmuszają mnie do wysnuęcia smutnego wniosku, który ma częściowo związek ze sprawą, o której dyskutowaliśmy wczoraj, po wypowiedzi Pani Mji, ambasador RPA z Polsce. Jest coś wyjątkowego w kryzysach bałkańskich i wojnach od Bośni aż po Kosowo. Istnieje wzajemna głęboko zakorzeniona nieufność wśród przeważającej większości grup etnicznych i narodowych, u której podstaw leży bardzo dyskusyjne przekonanie, że każdy naród, bardziej lub mniej świadomie, ma własny rozum. Podstawą jest też hierarchia, do której świadomie lub nieświadomie, zmierza każdy naród. Nie będę przytaczał nazwisk, ponieważ wszyscy tutaj obecni wiedzą o tradycyjnej hierarchiczności w byłej Jugosławii, a szczególnie o tych, którzy oddzielają chrześcijan od muzułmanów, szczególnie Albańczyków, na obszarze graniczącym z północną oraz północno-wschodnią czę-

ścią Republiki Albanii. U głębokich podstaw tej społecznej i etnicznej masy rozgrywają się dramaty. Konsekwencje owej mentalności możemy obserwować na własne oczy. Faktem jest, że żadne pojednanie między bałkańskimi narodami nie będzie możliwe, jeśli nie włoży się ciężkiego, długotrwałego wysiłku, obejmującego edukację i informację, zmierzającego do załagodzenia napięć i zwalczania tych głęboko zakorzenionych uprzedzeń.

A teraz niech mi będzie wolno przejść do dramatycznego wydarzenia, które zagroziło nie tylko stabilności, ale nawet istnieniu państwa Macedonii. Być może pamiętacie Państwo, że w strefie neutralnej stworzonej na granicy Kosowa w dolinie Presevo uformował się w latach 1999-2001 kolejny albański ruch wyzwolenczy, prowadzący wojnę wraz z UCK przeciwko oddziałom w południowej Serbii. Te oddziały nie miały prawa wkroczyć na ten pas ziemi o szerokości 5 km i długości 25, może 30 km. Gdy NATO pod koniec roku 2000 zdołało wypracować kompromis zakładający rozwiązanie wojska i zabiegi polityczne zmierzające do przywrócenia państwa serbskiego na tym terenie, większość z albańskich żołnierzy, oczywiście, nie pozostała w dolinie. Muszę również zauważyć, że w tym czasie żołnierze, o których była mowa, albo powrócili do Kosowa, albo do Macedonii i przyłączyli się do zarządzanych własnymi siłami wiosek doliny Presevo w górzystym terenie granicznym, który, co trzeba dodać, jest zimą całkowicie odizolowany od świata. Zatem w styczniu 2001 roku w tej części kraju rozpoczęła się nowa reakcja, która szybko rozprzestrzeniła na pozostałe jego części, rekrutując się spośród młodych Albańczyków i stale powiększając swą liczebność. Oni również nazwali się UCK, lecz K oznaczało nie Kosowo, lecz „narodowy”, co w języku albańskim brzmi „kombutari”. Coraz więcej macedońskich żołnierzy i polityków zaczęło się kierować ambicjami i krwawe, gwałtowne rozruchy rozprzestrzeniły się wśród tej słowiańskiej ortodoksyjnej ludności, szczególnie w miastach, z których pochodziły ofiary, łącznie z niszczeniem meczetów i własności albańskiej. Ryzyko wojny domowej stało się realne i bardzo poważne. Reprezentanci NATO i UE podjęli działania zmierzające do stworzenia nowego spójnego składu rządu macedońskiego, w którym zasiadłoby zarówno przywódca Słowian jak i Albańczyków. Do Skopie dotarł specjalny apel w tej sprawie, wystosowany przez NATO i EU, i rozpoczęły się skomplikowane negocjacje, których celem było osiągnięcie kompromisu. Takiego kompromisu, który odrzuciłby ideę podziału kraju wzdłuż granic etnicznych i przewidywał podjęcie serii nowych działań, uwzględniających długoletnie i uzasadnione żądania mniejszości albańskiej dotyczące możliwości używania własnego języka, czy uczest-

niczenia Albańczyków w siłach policyjnych, itp. W połowie sierpnia 2001 r. wszyscy przywódcy polityczni oraz przedstawiciele NATO i EU podpisali wstępne porozumienie. W ramach gwarancji bezpieczeństwa NATO dostarczyło kontyngent wojskowy, którego misją było przede wszystkim wykluczenie najpoważniejszych zagrożeń, zebranie i zniszczenie broni. Jednocześnie rozpoczęły się działania polityczne realizujące postanowienia porozumienia w sferze prawodawstwa i polityki. W końcu procesu siły NATO zostały zastąpione przez o wiele mniej liczne siły policyjne EU, i dzięki międzynarodowej współpracy udało się odnieść ogromne sukcesy w odbudowie meczetów, kościołów, a także domów i budynków publicznych, które bądź ucierpiały, bądź zostały całkowicie zniszczone w czasie trwania konfliktu. Również OBWE wykonało trudną pracę, wraz z doradcami ze Stanów Zjednoczonych, nad zorganizowaniem Akademii Policyjnej, która w przyszłości pozwoliłaby uregulować liczbę albańskich policjantów, którzy następnie byłiby odpowiedzialni za utrzymywanie porządku publicznego na głównych obszarach Albanii. A teraz przejdźmy do konkluzji. Nie ma ona ambicji być obiektywna, to moje prywatne zdanie. Lekcja z tej częściowo zakończonej sukcesem historii Macedonii jest taka, że możliwe jest zahamowanie konfliktów etnicznych w ich początkowym stadium, i możliwe jest przywrócenie pokoju, jeśli odpowiednie starania zostają podjęte przez społeczność międzynarodową, a szczególnie poprzez otwartą i skuteczną współpracę pomiędzy USA i EU, które dzisiaj bez wątpienia są głównymi aktorami na scenie Europy Południowo-Wschodniej.

Lecz, jak uczy nas przykład Macedonii, w mojej prywatnej opinii oczywiście, interwencja taka musi zostać przeprowadzona w najbardziej odpowiednim czasie, musi być dobrze skoordynowana i realizowana sprawiedliwie, i powinna dotyczyć w pierwszej kolejności działań politycznych, a dopiero później należy stosować narzędzia militarne, niezbędne do utrzymania pokoju. Odbudowywanie pokoju i przywracanie zasad prawa w społeczeństwach postkonfliktowych jest najbardziej doniosłym celem demokracji. Lecz nikt, moim zdaniem, nie ma w tej kwestii cudownego środka. Działania muszą być przeprowadzane z niezwykłą cierpliwością, zbliżając się bardziej do warstw najniższych, aniżeli tych na szczycie, uwzględniać ludzkie, społeczne i ekonomiczne uwarunkowania, które niezwykle różnią się nie tylko pomiędzy krajami, czy kontynentami, ale nawet w obrębie tego samego kraju, w zależności od tego, w jakim momencie historii się on znajduje. Wiąże się z tym z pewnością ludzkie tragedie, lecz proces odbudowy pokoju może jednocześnie stwarzać okazję do ustanawiania lub przywracania demokracji. Społeczność mię-

dzynarodowa, na którą składają się większe, regionalne organizacje oraz wyspecjalizowane agendy odgrywają w tym szlachetnym zadaniu rolę decydującą, pod warunkiem jednak, że rozpocznie się od zmiany mentalności, a działania opierać się będą na wzajemnej akceptacji i solidarności, co tak mądrze podkreśliła wczoraj ambasador RPA, Pani Mji. Bardzo dziękuję.

Agnieszka Kosowicz

Ponieważ niejako zamykam ostatnią debatę panelową i ponieważ zgodnie z moimi przewidywaniami nasze dyskusje wczoraj i dzisiaj nie były wesołe, postanowiłam powiedzieć coś pozytywnego. Mam kilka refleksji natury dosyć ogólnej na temat funkcji organizacji pozarządowych.

Muszę przyznać, że jako pracownik ONZ dosyć często spotykam się z różnymi oskarżeniami w stosunku do mojej organizacji, w większości słusznymi.

Natomiast trzeba pamiętać, że wysokie oczekiwania w stosunku do NGO's skierowane są w stosunku do dużej, często bardzo zróżnicowanej grupy ludzi. Sądzę, że oceniając pracę organizacji pozarządowych należy zawsze brać pod uwagę to, co one realnie są w stanie osiągnąć i jaką naprawdę mogą pełnić rolę. Z reguły rola możliwa do wypełnienia przez te organizacje jest przez nie wypełniana. Stąd wziął się pozytywny tytuł mojego dzisiejszego przemówienia: „To się udaje”. Słusznie sądziłam, że większość naszych dzisiejszych dyskusji koncentrować się będzie na problemach szalenie trudnych do rozwiązania, które wymagają nadludzkich wysiłków.

Chciałabym zwięźle opowiedzieć państwu o kilku sprawach, które zakończyły się sukcesem, o akcjach międzynarodowych, które przyniosły pokój, i które spowodowały poprawę warunków życia ludzi. Wysoki Komisarz do spraw Uchodźców w ONZ zajmuje się problemem obecnym na wielką skalę, a więc przymusowym wpływem ludzi ze swego kraju z powodu konfliktu. Obecnie na świecie UNHCR pomaga około 17 milionom ludzi, którzy są w znakomitej większości ofiarami konfliktów zbrojnych. Zadaniem organizacji jest szukanie trwałych rozwiązań dla zjawiska uchodźstwa, czyli udzielanie długofalowej pomocy tym ludziom. Istnieją trzy możliwości takich rozwiązań, dosyć ogólnie sformułowane:

– doprowadzić do dobrowolnego powrotu uchodźców do swego kraju w momencie zakończenia się konfliktu. Ten proces w naszym żargonie nazywany jest repatriacją;

- przyjąć i integrować uciekinierów w kraju, w którym znaleźli oni schronienie. Polska jest świetnym przykładem tego działania, ponieważ w poszukiwaniu ochrony przybywa tutaj aktualnie około 7-8 tysięcy osób rocznie;
- przesiedlić uchodźców do kraju trzeciego, w sytuacji, gdy pierwszy kraj azylowy nie jest w stanie zagwarantować im bezpieczeństwa. Mongolia jest przykładem kraju, który nie przystąpił do postanowień ONZ dotyczących uchodźców i każdy, kto prosi o status uchodźcy w Mongolii, wywożony jest przez UNHCR do innego kraju.

W jaki sposób wyobrażamy sobie ten powrót jako idealne rozwiązanie konfliktowej sytuacji z punktu widzenia uchodźców? Przede wszystkim decyzja o nim musi być dobrowolna. Słowo to budzi bardzo wiele kontrowersji. Całkiem niedawno pozamykano obozy dla uchodźców w Inguszetii i trudno mówić tutaj o jakiegokolwiek dobrowolności, gdy ludzie zmuszeni są do opuszczenia miejsca, w którym nie mają dostępu do wody, prądu ani do żywności, w którym nie mają dostępu po prostu do niczego. W opinii mojej organizacji są to powroty wymuszone w sposób pośredni. Drugi warunek to kwestia bezpieczeństwa kraju, do którego ci ludzie mają wrócić. Czasami kwestia pokoju nie polega tylko na tym, żeby ludzie przestali do siebie strzelać i sztandarowym przykładem, który przychodzi mi do głowy, jest tutaj kwestia min. Ogromne ilości ludzi, setki tysięcy ludzi na świecie są zagrożeni minami. Szczególnie bulwersujący wydaje mi się fakt, że w krajach tych na miny naraża się w sposób świadomy i celowy dzieci. Spotkałam się całkiem niedawno z dziennikarzem, który pracuje w Kambodży. On opowiadał mi o tym, jak rodziny specjalnie wysyłają po drewno do lasu swoje dzieci, ponieważ są one lżejsze, mają większą szansę na przeżycie, a poza tym jeśli zginie dziecko, to rodzice w dalszym ciągu mogą zapewnić opiekę pozostałej rodzinie. To są wybory, które ludzie na całym świecie muszą podejmować codziennie. I nie jest to sytuacja, która umożliwia bezpieczny powrót do domu.

Kolejna sprawa związana jest z tym, że powrót musi być godny i trwały. Nie będę rozwijać tej myśli, gdyż Pani Janina wspomniała o tym, że pomagając ludziom zawsze trzeba pamiętać, że właśnie pomaga się ludziom. Nie spełnia się swoich statutowych zadań, nie wydaje się pieniędzy, nie miesza się w budżecie, nie robi się setki innych rzeczy, tylko udziela się pomocy ludziom, dla których się tam przyjechało. Trudne warunki pracy mogą być jednym z powodów, dla których często organizacje pozarządowe zapominają o tym przykazaniu.

Kolejny warunek to możliwość powrotu na trwałe. Niestety, mamy przypadki powrotów, które nie są trwałe, jak chociażby afgański. Dobrze, że była już tutaj o tym mowa, ponieważ rzeczywiście zdarza się, że świat uzna konflikt za zamknięty i dąży do tego, by uchodźcy wrócili do swojego kraju, podczas gdy sytuacja na to nie pozwala. W tej chwili UNHCR wstrzymał proces repatriacji do Afganistanu ze względu na aktualną sytuację na tamtych ziemiach. Bardzo ważne jest to, aby wspólnota międzynarodowa działała długoterminowo, nie pod wpływem impulsu, co w Europie obserwujemy dość często, jak na przykład po zakończeniu konfliktu w Bośni. W Niemczech i w Belgii oraz we wszystkich innych krajach, które gościły dosyć duże ilości uchodźców z Kosowa, natychmiast pojawił się impuls i decyzja o odesłaniu tych ludzi. Innym przykładem jest przypadek iracki, kiedy to kraje europejskie natychmiast po tym, jak skończyła się główna operacja militarna w Iraku, zaczęły wręcz upominać UNHCR, żeby rozpocząć akcję repatriacji do Iraku. Decyzja o powrocie do Iraku, podejmowana indywidualnie i na własną odpowiedzialność, może liczyć na wszelką naszą pomoc. Jeżeli ktoś deklaruje taką chęć, to mu pomagamy. Uważamy natomiast, że aktualna sytuacja nie pozwala na organizowanie masowych powrotów i nasza organizacja nie jest gotowa przyjąć na siebie odpowiedzialności za taką decyzję. Uważamy, że nie należy zachęcać do powrotu do warunków, które tam teraz panują. Inaczej stało się w 2003 roku, kiedy to UNHCR pomógł około milionowi osób, które zdecydowały się w ciągu tego roku powrócić do swojego kraju. To jest właśnie ta sytuacja, którą chciałam państwu pokazać, że dzieją się również rzeczy pozytywne.

Pozostają tu jeszcze dwa inne warunki: warunki bezpieczeństwa do powrotu i możliwość rozpoczęcia życia od nowa przez uchodźców. Tylko sytuacja sprzyjająca dla tych ludzi może liczyć na nasze zaangażowanie. Zdaniem naszej organizacji, zapewnienie takiej sytuacji wymaga bardzo szerokiej współpracy, współgrania rozmaitych faktorów. Dzisiejsza poranna dyskusja była dla mnie ciekawa, ponieważ ukazała ona ciągłą nieobecność dialogu pomiędzy różnymi sektorami. Zupełną nieobecność planowania, nawet na poziomie idei. Wydaje mi się, że ani w mediach, ani w polityce, ani w organizacjach pozarządowych nie istnieje taka strategiczna, długofalowa refleksja na temat tego, jaki kształt ma mieć świat.

Rozmawialiśmy tutaj o roli różnych partnerów. Choć wypowiadając się na ten temat przekraczam już moje kompetencje, jednak z moich obserwacji wynika, iż media mają do wypełnienia pewną rolę i ją także wypełniają w wielu sytuacjach. Przykładem może tu być wspomniane radio w Ruandzie, ale i „Gazeta Wyborcza”,

która być może nieświadomie odegrała kluczową rolę w małym konflikcie. Niedawno mogliście tam Państwo przeczytać, że w Mosznej niedaleko Warszawy, w jednym z niedużych ośrodków dla uchodźców, grupa podpitych młodzieniaszków zaatakowała uchodźców, co się przerodziło w duży konflikt na poziomie lokalnej społeczności. Na początku relacje te miały charakter chaotyczny, spanikowany i dominował w nich bardzo emocjonalny ton.. Mówiło się o ataku w stosunku do uchodźców, o rasizmie. Jednak później udało się doprowadzić do spotkania mediów z przedstawicielami władz, które prowadziły ten ośrodek, i nie było tam miejsca na manipulację nikogo przez nikogo, po prostu jedni i drudzy zrozumieli naturę tego konfliktu i to, jak można go rozwiązać. „Gazeta” z własnej i nieprzymuszonej woli opublikowała cykl artykułów, który pokazywał konflikt w odpowiedniej skali, w prawdziwym świetle. Pokazano tło tej sytuacji i potrafiiono ją wytłumaczyć. To była właściwie jedyna forma pomocy dla tamtej społeczności i sposób na zażegnanie tego konfliktu, jak zresztą się stało. Podobnych przykładów w świecie mediów może być więcej.

A teraz o problemie związanym ze wspólnotą międzynarodową. Kilka dni temu rozmawiałam z Czeczenami przebywającymi w Polsce i powiedzieli mi, że oczywiście chcą wrócić do Czeczenii. Rozmawiamy o możliwym końcu tej wojny. Moi rozmówcy stali na stanowisku, że wojna ta może się skończyć w każdej chwili i w ciągu jednej godziny, tak jak zresztą każda inna wojna, gdyby tylko istniała wola, aby tak się stało. Ta rola przynależy wspólnocie międzynarodowej: istnienie takiej woli i przełożenie jej na rzeczywistość. Przecież żadna wojna nie dzieje się bez powodu, zawsze istnieją jakieś ku niej powody, nie toczy się sama. Jeżeli istnieje wola międzynarodowa, to sytuacja może ulec poprawie.

Co robi UNHCR? Kilka elementów naszej pracy wymieniła już Pani Ochojska. Kładzenie kresu konfliktowi jest zadaniem wieloaspektowym i polega nie tylko na budowie mieszkań, dróg i mostów czy tworzeniu nowych miast, lecz również na promocji dialogu i myślenia pokojowego. Kiedyś spotkałam się z myślą, iż po zakończeniu konfliktu absolutnie nie można doprowadzić do sytuacji, która miała miejsce przed nim, że należy wysnuwać wnioski z jego źródeł. Oczywiście po to, aby je wyeliminować. Tutaj może chodzić na przykład o łączenie rodzin, ponieważ bardzo często efektem wojen czy konfliktów jest ich rozdzielanie. Czerwony Krzyż zorganizował kiedyś piękną akcję, doprowadzając do połączenia z rodzinami około 300 tys. dzieci w rejonie wielkich jezior w Afryce. Kolejnym przykładem działalności UNHCR jest wspieranie dialogu, współpracy różnych partnerów, nie tylko

mediów, organizacji pozarządowych czy rządowych, samych rządów, ale również innych partnerów – na przykład partnerów biznesowych.

Ciągłym problemem organizacji pozarządowych i międzynarodowych jest zdobywanie pieniędzy na swoją działalność. Im więcej ich obecności w mediach, tym więcej dostają one pieniędzy. I tutaj jest miejsce dla kolejnego zadania dla mediów, żeby zastanowiły się one nad skutkami swojej działalności. Widziałam bardzo wiele rankingów, jednak nigdy nie widziałam badań nad efektami publikacji prasowych. Nie wiem, czy robi się badania na temat wpływu danej gazety na rzeczywistość, ale efekty takich studiów byłyby bardzo ciekawe. Istnieje dosyć ciekawa inicjatywa, która polega na tym, żeby zabiegać o wsparcie dla krajów, które doświadczyły konfliktu. Najbardziej znani partnerzy tego programu to bardzo różne agendy ONZ, wiele organizacji pozarządowych, media, rządy danych krajów. Chodzi o to, aby nie zostawiać własnemu losowi krajów po zakończeniu się konfliktu, walczyć z dość powszechną praktyką, że w tym najbardziej newralgicznym momencie, w którym kraj ten szczególnie potrzebuje kompleksowego wsparcia, wyciekają stamtąd media, organizacje pozarządowe, wsparcie finansowe. Chodzi też o to, aby ludziom, którzy zapragną powrócić, zapewnić takie możliwości.

Chciałabym wskazać Państwu kilka przykładów takich akcji, które się powiodły, gdy ludzie powrócili do swoich krajów, w których sytuacja się polepszyła. Dane, które dotyczą repatriacji w 2003 roku, mówią o ponad 500 tys. powrotów w Afganistanie, o ponad 100 tys. w Angoli. Ludzie powracający do Afganistanu przechodzą szkolenie dotyczące min. Inne konflikty również ustabilizowały się na tyle, że ludzie wracają do swoich krajów: Burundi, Iraku, Ruandy, Sierra Leone, Bośni. Do Burundi i Ruandy powróciło ponad 100 tys. ludzi w ubiegłym roku. Sri Lanka też jest przykładem stabilizacji. Parę dni temu podpisano porozumienia w Liberii o powrocie uchodźców do swojego kraju, ma miejsce także ogromna akcja powrotów do Namibii, do Mozambiku. Ta ostatnia jest chyba największą akcją UNHCR. Tak więc wniosek jest taki, że jeżeli się chce, to można to zrobić. Jest to jednak początek tego procesu, jeszcze nie wszyscy wrócili do swoich krajów. Natomiast sytuacja stabilizuje się na tyle, że pozwala na pozytywne myślenie.

Kilka dni temu UNHCR opublikował informację prasową, że od zakończenia wojny w Bośni powróciło tam milion ludzi. Sytuacja stabilizuje się tam w bardzo szybkim tempie. Oczywiście, nadal są osoby wysiedlone, istnieją problemy dotyczące bezpieczeństwa i inne, ale sytuacja polepsza się na tyle szybko, że budzi jakieś nadzieje. Innym przykładem jest Polska. Usiłowałam ustalić, ile osób wróciło do

kraju po 1989 roku, jednak nigdzie nie znalazłam takich danych. Natomiast w ciągu wcześniejszych dwóch dekad z kraju wyjechało ponad 800 tys. osób.

W tej chwili 17 milionów ludzi czeka na możliwość powrotu do swojego kraju. Z mojego szybkiego przeszukiwania w Internecie wynika, że jest ponad 50 konfliktów zbrojnych na świecie. Ta informacja może być ciekawa w kontekście naszej wcześniejszej rozmowy, o naszej kompletnej niewiedzy na temat wielu konfliktów. W konfliktach tych bierze udział około 300 tys. dzieci, o czym informuje raport UNICEF. Nie zauważyłam, żeby dane te zmieniły się w znaczący sposób w ciągu ostatnich 5-6 lat. Ponad 50 milionów ludzi żyje na wygnaniu.

Katarzyna Kolenda-Zaleska

Dziękuję za te dobre słowa pod adresem mediów, ponieważ bałam się, że po dzisiejszej dyskusji wszyscy rozjadą się z wrażeniem, że media są złe, niedobre, cyniczne i wolą mówić o psach gwiazd niż o ludziach. Dziękujemy bardzo za słowa, które świadczą, że jednak się na coś przydademy.

DYSKUSJA

Tadeusz Mazowiecki

Pani Agnieszka Kosowicz nawoływała do optymizmu. Ja myślę, że wszystko, co Państwo tutaj robicie, jest takim optymistycznym akcentem. Ja zawsze, jak słucham tego typu relacji, nabieram optymizmu, że są tacy ludzie i robią takie rzeczy.

Pierwsza informacja, którą chciałbym się z Państwem podzielić, ilustruje to, że istnieją również inne bardzo ciekawe pomysły ze strony wielkich organizacji pozarządowych, przy równoczesnym braku woli dotowania finansowego tych pomysłów ze strony państw. Ja zostałem powołany w skład tak zwanej Rady Zarządzającej Funduszu Powierniczego dla Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze. Kar tego trybunału nie popiera USA i nie chce się włączyć w jego działalność, ponieważ obawia się zarzutów, na przykład, wobec armii USA. Idea o utworzeniu Funduszu Powierniczego, który ma pomagać ofiarom konfliktów, jest bardzo dobra, ale zarazem zawarto przy niej pewien kompromis. Byli bowiem przeciwnicy powołania tego Funduszu. Zawarty kompromis jest kiepski, dlatego że państwa nie są zobowiązane płacić na ten Fundusz, wpłaty są jedynie dobrowolne. Doszło do pierwszego zebrania Rady tego Funduszu, w której zasiadają bardzo wspaniałe osoby, na przykład królowa Jordanii. No, ale Fundusz ma 17 000 dolarów, więc jak tu się w ogóle zastanawiać nad pomocą, nad jakąś poważną akcją?

Mam pytanie do Pani Janki Ochojskiej i jej odpowiedź bardzo by mnie interesowała. Zasady postępowania, o których Pani mówiła, są bardzo mądre, bardzo ciekawe. Czy są to zasady specyficzne PAH, czy też inne NGO's spełniające podobną misję, kierują się także mniej więcej takimi zasadami? Czy istnieje pewien wspólny poziom i zasady, na których oparta jest praca takich organizacji?

Trzecia uwaga dotyczy tego, o czym powiedziała Pani na początku. Bardzo ważne jest, żeby o takich akcjach i działaniach media informowały w sposób konsekwentny. Dlaczego? Ponieważ polskie społeczeństwo jest strasznie polonocentryczne. Jesteśmy wrażliwi, gdy wydarzy się coś strasznego, ludzie wpłacają pieniądze na konta, które Państwo podajecie, i to zawsze jest bardzo optymistyczne. Jednak generalnie my się nie przejmujemy tym, co się dzieje gdzie indziej. Myślę, że ten nasz swoisty egoizm polski wzmocni się jeszcze poprzez nasz egoizm europejski, podczas gdy nie może być barier pomiędzy rodziną europejską a tą szerszą rodziną ludzką. Tutaj wychowawcze znaczenie i rola prasy są ogromne. Kiedy byłem sprawozdawcą w Jugosławii i przyjeżdżałem z misji na posiedzenia sejmu, to zawsze mi ręce opadały, jak widziałem, z jakimi sprawami mam tam do czynienia, a o co tu się tak bardzo kłóć. Jedyny raz, kiedy tak naprawdę Polacy zainteresowali się tym konfliktem, miał miejsce wtedy, gdy przykuli polskich oficerów. Zauważmy, jak zaczynają się komunikaty w radiu w telewizji: od tego, że zabili Polaka, a nie – że zabito ludzi, i to wielu, tylko że Polaka. Sądzę więc, że powinniśmy tę mentalność zmieniać.

Janina Ochojska

Sama napisałam te przykazania, ponieważ od prawie 12 lat pracuję w tej dziedzinie. Gdy byliśmy jeszcze bardzo małą organizacją, stykałam się ze swoistą pogardą wobec tych, którzy są w terenie. Ja nie mówię, że wszystkie organizacje są takie, ale czasami czuło się jakąś wyższość, że my przychodzimy z wielką kasą. Nie wyobrażałam sobie, żeby nasza organizacja miała pracować tak samo. Tym bardziej, że my, Polacy, doświadczyliśmy pomocy ogromnej, choć czasami bezużytecznej, jak w przypadku przekazywanych nam starych lekarstw.

Widziałam studnie w Afganistanie, wybudowane przez pewną organizację za ciężkie pieniądze, które wyszły po ich wyjeździe, gdy zmieniła się pora roku. Albo w Czeczenii, gdzie między innymi stawiamy toalety przy szpitalach i szkołach i trzy osoby z Polski pracują tam po to, żeby koordynować i uczyć tamtejszą społeczność. Robi to jeszcze inna organizacja, która nie ma swoich ludzi w terenie i widać, jak niszczone jest idea pomocy humanitarnej, jeżeli międzynarodowi pra-

cownicy tej organizacji polegają na raportach lokalnych pracowników, którzy piszą, że toalety są, tyle że w rzeczywistości ich nie ma. Pieniądze idą do kieszeni. Niestety, takie rzeczy się zdarzają i myślę, że w ten sam sposób jak rozmawialiśmy tutaj o mediach, trzeba rozmawiać o organizacjach humanitarnych. Ja jestem coraz bardziej przeświadczona, że coś musi się zmienić, aby nie marnować tych potężnych środków i aby być bardziej efektywnymi, tak aby pozostawały trwałe ślady naszej pomocy w społeczeństwie. Przykazania, które napisałam, są w niektórych punktach zbieżne z kodeksami różnych organizacji międzynarodowych. Jednak my czujemy się trochę inni, ponieważ stosując takie miękkie zasady, sprzyjamy bardziej tym, którym pomagamy.

Róża Thun

Ja także chciałam się odnieść do pytania Pana Premiera, ale najpierw chciałam uczynić pewną obserwację, związaną z tym, co mówiła Janka Ochojska. Pamiętam moje doświadczenia z niedawnej jeszcze kampanii przedreferendalnej, zaproszenia do małych miejscowości, gdzie są bardzo prężne środowiska lokalne i ludzie kompletnie nie wiedzą, o co chodzi w Unii Europejskiej, więc błagają, żeby przyjechać, doszkolić nauczycieli, środowisko samorządowe itd. Tak więc ja w Warszawie zwracam się do różnych ludzi, którzy doskonale znają ten temat i pytam ich, czy chcą ze mną pojechać na weekend w teren i spędzić tam dzień na mówieniu o integracji europejskiej. Odpowiedzią jest pytanie o to, ile mu płacę. Odpowiadam mu, że przecież chcemy wejść do Unii Europejskiej i że on może się do tego przyczynić. Ale nic z tego, ponieważ inni płacą.

Myślę, że przykłady, o których opowiadała Janka, można w znacznym stopniu zastosować do nas samych, którzy od niedawna budujemy demokrację, nasze członkostwo w Unii Europejskiej. Zjawisko środowisk postkonfliktowych w znacznym stopniu odnosi się do krajów biednych, do tak zwanych krajów Trzeciego Świata. Organizacje humanitarne np. niemieckie czy francuskie kierują się założeniem, że jeżeli projekt się udał, to znaczy że jesteśmy tam już niepotrzebni. Rzeczywiście, najlepsze projekty to takie, które nie tylko dają pieniądze, lecz które uczą ludzi know-how i oddają im odpowiedzialność za własne społeczeństwo. Nie chcę krzywdzić międzynarodowych organizacji, ponieważ nie znam ich dobrze, ale gdy mieszkałam przez dwa lata w Nepalu w Katmandu, widziałam miejsca pracy dla Francuzów, Niemców czy ludzi z innych narodowości, podczas gdy te projekty – tu się zgodzę z Janką – funkcjonują najlepiej wtedy, jeżeli są przejmowane przez ludzi z terenu. Taka postawa organizacji wymaga etosu, poczucia misji i pewnej od-

wagi. Jednak tylko w ten sposób projekt naprawdę zakorzeni się tamtym kraju i powinny pamiętać o tym zarówno organizacje humanitarne, podobne do organizacji Janki Ochojskiej, jak i bogate i potężne organizacje. Etyka i sposób działania są takie same.

Prof. Michael Daxner

Inguszetia, jak mówiłem już wczoraj, zajmuje obszar wielkości Los Angeles i w jej obrębie mamy 450 organizacji pozarządowych. Kiedy zapytałem ambasadora, czy wie, która z tych organizacji podjęłaby się stworzenia innej, odpowiedział: „Absolutnie nie jestem w stanie powiedzieć, ta jest dobra a tamta jest zła, każda ma swoje sposoby, każda swoje koncepcje, proszę to zrobić samemu”. Duże organizacje międzynarodowe, takie jak GTA (Society for Gestalt Theory and its Applications) czy CEDA (Committee for Economic Development of Australia) zawsze współpracują z lokalną ludnością.

Trzeci punkt, do którego chciałbym się odwołać, to Macedonia w czasie tego potwornego i krwawego konfliktu. Dla każdego człowieka, po obu stronach, była to okrutna, gwałtowna loteria. Było sporo uchodźców, w tym dzieci, którzy musieli obrać kierunek przeciwny, z Macedonii do Kosowa. W tym społeczeństwie 50% populacji to młodzi przed 21. rokiem życia. Mamy więc dzieci, nie mamy rodziców. Radziłem im, weźcie je do szkół! Musiałem ich zmusić, by wzięli macedońskich nauczycieli do szkół w Kosowie, i to była jedyna inicjatywa rządowa. Pozostałe zostały podjęte przez ludzi z UNHCR.

Na koniec chciałbym powiedzieć, że nie powinniśmy zapominać o tym, że są organizacje rządowe, pracujące na tej samej zasadzie, co większe NGO's i powinniśmy je szanować, gdyż są niezwykle skuteczne. Z drugiej strony, organizacje takie jak SOROS mają te same wady i zalety, jak organizacje rządowe, choć są to NGO's.

Danuta Przywara

Sądzę, iż pokora może być jakąś receptą na to, jak można skutecznie działać. Prześtańmy mieć postawę, że wszystko wiemy lepiej od tych, których konflikty chcemy rozwiązywać i którym chcemy pomagać. Weźcie sobie przykład, że wcześniej mówiłam o równości wobec prawa – nie budujemy państwa prawa naruszając prawo międzynarodowe i naruszając prawo wewnętrzne, bo to nam się nie powiedzie. Jeżeli chcemy budować państwa praworządne, to pokazujemy, że wszyscy jesteśmy równi wobec prawa. Taki jest mój postulat wobec Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jeżeli trzy na-

rody z tych, które tworzą tę organizację, będą równiejsze od pozostałych, to nie nauczymy nikogo równości, państwa prawa i jego przestrzegania

Gen. Mieczysław Bieniek

Ze szczególną uwagą i podziwem wysłuchałem Pani Janiny i Pani Agnieszki. Budujący jest ten optymizm, który bije z wystąpień kobiet. Bardzo celne są uwagi na temat nieobecności społeczeństw obywatelskich na terenach objętych konfliktem. Przestrzeganie prawa jest oczywiście konieczne, jednak trzeba pamiętać, że to prawo często nie istnieje. Natomiast od samego początku rozwijają się w krajach postkonfliktowych struktury mafijne, tak jak dzieje się chociażby w Bośni, w Kosowie. Struktury te nie pozwalają rozwijać się państwu prawa, o czym mówił Premier Mazowiecki. W Iraku mamy również struktury mafijne, które działały w systemie totalitarnego reżimu Saddama i ci, którzy byli bandytami wtedy, również dzisiaj są nimi.

Chociaż generalnie zgadzam się z Panią Różą, to jednak trudno wymagać, na przykład, od społeczności prowincji Karbala, żeby wiedziała, jak sobie pomóc. Po 35 latach reżimu Saddama są bezradni – wszystko zostało im odebrane albo dane.

Wojny albo konflikty cofają niektóre kraje w rozwoju cywilizacyjnym o 5-10 lat. Tak, jak miało to miejsce w Jugosławii, która w latach siedemdziesiątych była cywilizacyjnie bardziej rozwinięta niż Polska, a dzisiaj kilkuletnie wojny cofnęły ten kraj o 10-15 lat. Zachęcajmy te kraje do tworzenia państwa prawa, ale dajmy im także czas i trochę optymizmu. Szczególny podziw mam dla tych organizacji humanitarnych, które pracują w warunkach zagrożenia.

Chciałbym jeszcze dodać, że dowódcy wojskowi mają obowiązek koordynowania działalności wszystkich organizacji rządowych i pozarządowych. Czasem jest to trudne do przeprowadzenia, ponieważ wy rządzą się swoimi prawami, a prawda jest taka, że tylko Unity of Effort & Unity of Command prowadzi do efektu końcowego, jakim jest państwo prawa.

Marta Kołodziejczyk

Na moment chciałam jeszcze wrócić do słów Pani Róży Thun. W społeczeństwach postkonfliktowych bardzo istotna jest współpraca organizacji pozarządowych z administracją państwową, z urzędnikami. Kiedyś, jako zapalona studentka, miałam okazję organizować w Bielsku-Białej konferencję i chciałam zaprosić urzędniczkę z Ministerstwa Edukacji z Pracowni Europejskiej, ponieważ temat miał dotyczyć systemu edukacyjnego w Europie. W ministerstwie usłyszałam, że nikt nie przyjedzie, bo do Bielska-Białej jest za daleko. Choć z pewnością można podawać także przykłady pozytywne, wiele sytuacji tego typu, niestety, ma miejsce.

Jeżeli chodzi o współpracę urzędników administracji państwowej z organizacjami pozarządowymi, to chcę się podzielić z Państwem kolejnym przykładem, też z gruntu polskiego. Ostatnio prowadziłam badania z zakresu ochrony uchodźców w Polsce i interesowała mnie współpraca Ośrodka dla Uchodźców z organizacjami pozarządowymi. Zapytany o to urzędnik z Ośrodka powiedział mi, że o współpracy w zasadzie nie może być mowy, ponieważ osoby działające w organizacjach pozarządowych widzą ochronę uchodźców trochę z innej perspektywy, tzn. starają się za wszelką cenę ich chronić, podczas gdy urzędnicy przestrzegają prawa. Jak widać na tym przykładzie, bardzo ważne jest wypracowanie takiej postawy wśród urzędników, aby nie przejawiali oni wrogości, nie postrzegali nieprawidłowo działaczy organizacji pozarządowych. Może to bowiem wpływać negatywnie na standard ochrony, który jest oferowany uchodźcom oraz osobom ubiegającym się o ten status w Polsce.

Katarzyna Kolenda-Zaleska

Dziękuję Państwu bardzo. Bardzo proszę o podsumowanie ostatniej debaty.

Janina Ochojska

Kilka słów do Pana Generała. Podczas naszej misji w Iraku korzystaliśmy z pomocy wojska, a zwłaszcza z bezpłatnych przelotów samolotami. Ale rzeczywiście rządziłymi się własnymi prawami: nie mieszkaliśmy w Camp Babilon, tylko wśród ludności, w bardzo biednej dzielnicy. To właściwie nas chroniło, dlatego mogliśmy tam tak długo być i nie spotkaliśmy się ani razu z agresją.

Mam świadomość tego, jak ogromną rolę mogą odegrać zarówno organizacje pozarządowe, jak i całe polskie społeczeństwo w rozwiązywaniu różnych konfliktów i w wypełnianiu zobowiązań, które wynikają z naszego członkostwa w Unii Europejskiej. Te zobowiązania odnoszą się także do krajów rozwijających się, gdzie jest ogromna bieda. Myślę, że pomimo iż nie jesteśmy bogatym krajem, to i tak możemy bardzo dużo zrobić. Chciałabym, żebyśmy wszyscy tutaj obecni – organizacje, media, instytucje – pomyśleli o tym, że ta solidarność naprawdę jest najważniejsza i że jeżeli chcemy żyć w lepszym świecie, to musimy tę solidarność po prostu bardzo solidnie realizować, nie oglądając się na przeszkody. Ja wierzę, że można w ten sposób budować lepszy świat.

Antonio Tarelli

Myślę, że ten apel do ludzkości jest bardzo właściwy i na czasie. Dodałbym jeszcze, że nie jestem do końca wielbicielem Południowej Afryki, ale wczoraj byłem pod ogromnym wrażeniem afrykańskiej koncepcji człowieczeństwa powiąza-

nego z solidarnością. Nie znam zbyt dobrze języków afrykańskich, ale – jak sądzę – *ubundu* było słowem, które na wszystkich zrobiło wrażenie. Myślę, że także my, Europejczycy, moglibyśmy wiele nauczyć się od Afrykańczyków.

Odeszliśmy od korzeni naszej cywilizacji w stronę cywilizacji pieniądza, dobrobytu. Bycie zamożnym znaczy dziś więcej niż bycie człowiekiem.

Powinniśmy raz jeszcze zacząć od początku, oprzeć się na naszej tradycji, na naszej religii, jakiegokolwiek religii, jako fundamencie naszej cywilizacji i ruszyć do przodu.

Agnieszka Kosowicz

Chciałabym jeszcze powrócić do tematu współpracy, który poruszyła Pani Kolodziejczyk, z którą nie do końca się zgadzam, ponieważ wielu jest niezwykle kompetentnych i ofiarnych urzędników. Z drugiej strony, spotkałam się również z organizacjami pozarządowymi, które zatrudniają niekompetentnych i lekceważących swoje obowiązki pracowników.

Aby promować dialog, trzeba zabiegać o dobrych partnerów do współpracy, ponieważ ci partnerzy są zarówno po stronie rządu, jak i po stronie organizacji pozarządowych i mediów. Obok organizacji, które będą niekompetentne i będą kopać suche studnie, można znaleźć organizacje, które potrafią koordynować pracę różnych innych podmiotów, jak np. wojsko. Taka współpraca jest możliwa, tylko wydaje mi się, że wymaga ona po prostu trzeźwego spojrzenia na możliwości swoje i innych. Zgadzam się z opinią Danuty Przywary, że to wymaga pokory i obiektywnej oceny samego siebie i swoich możliwości oraz umiejętności znalezienia partnerów do współpracy.

Katarzyna Kolenda-Zaleska

Poproszę teraz Panią Danutę Glondys o podsumowanie naszej konferencji. Dzięki niej znaleźliśmy się tutaj i dzięki niej mogliśmy wspólnie rozmawiać.

Danuta Glondys

Przez dwa dni Willa Decjusza żyła spotkaniem ze wspaniałymi gośćmi, wybitnymi ekspertami i niezwykłymi ludźmi, którzy starają się wspólnie budować dobrą przyszłość. Pozwólcie Państwo, że podsumuję teraz debaty i dyskusje. Zmieniło się znaczenie słów: „wojna” i „pokój”; zniszczenie reżimu niekoniecznie prowadzi do lepszego świata i wolności; żołnierze już nie tylko walczą z wrogiem, ale ratują i chronią życie i są nauczycielami dla wychodzącej z traumy społeczności; ONZ, do czasu reformy, najprawdopodobniej będzie funkcjonować tak jak do tej pory, pełne dobrej woli, lecz bezsilne wobec wielkich mocarstw: Rosji, Stanów Zjedno-

czonych i Chin; inicjatywy na szczeblu międzyrządowym, takie jak ta, podjęta przez Brazylię, Francję i inne państwa, które postanawiają, że zrobią coś wspólnie, aby ludzie nie umierali codziennie z głodu, muszą mieć przyszłość i powinny być podejmowane i wprowadzane w życie nawet bez udziału ONZ.

Do korespondentów wojennych, komentatorów i dokumentalistów kieruję wyrazy podziękowania za próbę opowiedzenia nam o tym, co się dzieje w krajach, do których tak bardzo balibyśmy się pojechać. Z drugiej strony, kieruję prośbę do mediów, aby przestały traktować nas niepoważnie, i aby wreszcie zdefiniowały same przed sobą rację swojego bytu, ponieważ nie można najpierw robić z nas nieuków, a potem mówić, że nic nie rozumiemy.


UNHCR, Polska Akcja Humanitarna i inne organizacje humanitarne przynoszą nadzieję i udowadniają, że komunikacja pomiędzy kulturami jest możliwa, lecz że dokonuje się ona na poziomie człowieka, a nie polityki.

Jesteśmy dziećmi-potomkami reżimu – reżimu politycznego, reżimu słowa, reżimu własnej wygody. Zarówno jako narody, jak i jako osoby fizyczne, myślimy wyłącznie o sobie i wszystko, co jest daleko, nas nie dotyczy i nie interesuje.

Wskaźnikiem rozwoju naszej dojrzałości społecznej może stać się najmniejsza choćby zmiana naszego stanowiska i postawy wobec świata. Zróbmy przynajmniej ten pierwszy krok i zareagujmy na apele organizacji, które działają na rzecz pomocy humanitarnej dla ludzi umierających w Afryce czy w Azji.

Dziękuję sponsorom konferencji, dziękuję sponsorom nagrody, dziękuję bardzo serdecznie ekspertom, że przyjęli moje zaproszenie i przyjechali do nas, do Willi Decjusza.

Dziękuję organizacjom pozarządowym za ich udział w dyskusji i za nasze wspólne poszukiwanie odpowiedzi na to, co robić dalej. Zamykam konferencję „Odbudowa pokoju w społeczeństwach postkonfliktowych. Rola mediów i organizacji obywatelskich”.



Nagroda imienia
Sergio Vieira de Mello

NAGRODA IMIENIA SERGIO VIEIRA DE MELLO

Wprowadzenie

Danuta Glondys

Z prawdziwą przyjemnością witam na naszej uroczystości Pana Profesora Andrzeja Zolla, Rzecznika Praw Obywatelskich oraz byłego asystenta Sergio Vieira de Mello, Pana Paolo Uchoa.

Autorem statuetki Nagrody im. Sergio Vieira de Mello jest obecny tutaj znakomity polski artysta, Pan Andrzej Renes.

Rok temu, gdy razem z Jankiem Piekło przygotowaliśmy konferencję o tolerancji, postanowiliśmy, że nie możemy jej po prostu tak sobie skończyć, że musi coś z niej pozostać. Życie napisało scenariusz, którego nigdy byśmy sobie nie życzyli. 19 sierpnia 2003 roku w Bagdadzie zginął wysłannik Narodów Zjednoczonych, Wysoki Komisarz ds. Praw Człowieka, Sergio Vieira de Mello, nadzwyczajny człowiek, który pomógł setkom tysięcy ludzi. Postanowiliśmy uhonorować Jego życie i działania, i ustanowić Nagrodę Jego Imienia.

Nagroda będzie przyznawana co roku, a dzisiaj ma miejsce jej pierwsza edycja. Naszą intencją jest nagradzać osoby i organizacje pozarządowe za ich wyjątkowe zasługi dla pokojowego współistnienia i współdziałania społeczeństw, religii i kultur. Nagrodą jest statuetka oraz dyplom.

Proszę Pana Profesora Andrzeja Zolla, Rzecznika Praw Obywatelskich o zabranie głosu.

Prof. Andrzej Zoll

Ekscelencje, Szanowni Państwo.

Jestem zaszczycony, że jako Rzecznik Praw Obywatelskich będę mógł dzisiaj wręczać Nagrodę im. Sergio Vieira de Mello osobie, która w sposób zupełnie wyjątkowy, w tych czasach, w których przyszło nam żyć, stanowi drogowskaz postępowania wobec drugiego człowieka, bo przecież właśnie On, Sergio Vieira de Mello będąc Wysokim Komisarzem ds. Praw Człowieka Organizacji Narodów Zjednoczonych, był tym, który pomagał bardzo wielu ludziom znajdującym się w sytuacjach ekstremalnie trudnych. Ratował uchodźców wietnamskich, ratował ludzi w Kambodży, ratował ludzi w Afryce, w różnych częściach świata, w których warunki wojenne, kryzysy, niszczenie praw człowieka było na porządku dziennym. Ratował te wartości, które dla nas wszystkich są najcenniejsze. Sam oddał życie za swoje idee, bo w Iraku był też tym, który miał chronić prawa człowieka, miał chronić przestrzeganie tych zasad, które dla niego były najcenniejsze.

Myślę, że bardzo dobrze, że właśnie tu, w Polsce, będziemy przyznawać nagrodę Jego imienia. Nagrodę za działania w tym samym kierunku, działania na rzecz innych ludzi, działania, które mają podkreślać, że przyrodzona i niezwykła godność człowieka jest wspólną właściwością wszystkich ludzi, w każdej kulturze, w każdym systemie społecznym i prawnym. Myślę, że laureaci tych nagród to właśnie są i osoby, i organizacje, które tym śladem idą i także dla nas stanowią drogowskazy.

Ogłoszenie werdyktu Kapituły Nagrody im. Sergio Vieira de Mello **Ewa Łabno-Fałęcka**

Dziękuję bardzo inicjatorowi Nagrody im. Sergio Vieira de Mello za zaproszenie do Kapituły. Firma DaimlerChrysler traktuje to zaproszenie jako wyróżnienie, ponieważ jesteśmy jedynym partnerem biznesowym. Nie chcę nadużywać Państwa cierpliwości, ale powiem dwa zdania, dlaczego zdecydowaliśmy się być fundatorem tej nagrody.

Po pierwsze dlatego, że uważamy, że celem biznesu jest nie tylko sam biznes, ale także zmienianie i kształtowanie postaw, sposobów myślenia i rozwiązywania problemów tego świata. Drugim powodem jest to, że firma DaimlerChrysler współpracuje z Organizacją Narodów Zjednoczonych, która, naszym zdaniem, przeżywa chyba największy kryzys od czasu swojego powstania, i z tego także powodu tak boleśnie dotknęła nas strata ludzi pokroju Sergio Vieira de Mello.

A teraz komunikat z posiedzenia Kapituły Nagrody im. Sergio Vieira de Mello pod honorowym patronatem Ambasadora Brazylii w Polsce, Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców.

W dniu 21 września 2004 roku w Willi Decjusza w Krakowie odbyło się posiedzenie Kapituły Nagrody im. Sergio Vieira de Mello, która będzie przyznawana za działania na rzecz pokojowego współistnienia i współdziałania społeczeństw, religii i kultur. W posiedzeniu udział wzięli: Paweł Świdorski, Konsul Honorowy Brazylii w Polsce w imieniu Ambasadora Federacyjnej Republiki Brazylii; Agnieszka Kosowicz, Pełnomocnik do spraw Informacji z ramienia Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców; Janusz Kurtyka, dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie z ramienia Instytutu Pamięci Narodowej; Iwona Sadecka, doradca Konsula Generalnego USA do spraw Prasy i Kultury w Krakowie; Stefan Wilkanowicz, Prezes Fundacji ZNAK; Jan Piekło, Sekretarz Zarządu Fundacji ZNAK; prof. Jacek Woźniakowski, Przewodniczący Zarządu Stowarzyszenia Willa Decjusza; Danuta Glondys, Dyrektor Stowarzyszenia Willa

Decjusza oraz Ewa Łabno-Fałęcka, przedstawiciel DaimlerChrysler fundatora nagrody. Swoich kandydatów do nagrody telefonicznie wskazała Pani Barbara Labuda, sekretarz stanu w kancelarii Prezydenta RP, występująca w imieniu prezydenta RP, która ze względu na obowiązki służbowe nie mogła osobiście wziąć udziału w posiedzeniu. Nie mógł w nim także uczestniczyć pan Andrzej Malanowski, dyrektor Zespołu Prawa Konstytucyjnego Międzynarodowego, który pisemnie poinformował, iż, cytując: „ceduję swój głos na resztę kapituły oraz zgadzam się z werdyktem, który zostanie uzgodniony”.

Łącznie wpłynęły dwadzieścia dwa wnioski, z czego dwadzieścia jeden spełniało kryteria regulaminowe, w tym osiem wniosków w kategorii „osoba” oraz trzynaście wniosków w kategorii „organizacja pozarządowa”. W kategorii indywidualnej nominowanych zostało siedem zgłoszeń – dwa wnioski dotyczyły tej samej kandydatury. W kategorii organizacja pozarządowa nominowanych zostało jedenaście podmiotów, z czego jedna organizacja wymieniona została w trzech wnioskach.

Przeczytałem teraz listę wszystkich organizacji i osób, które zostały nominowane do Nagrody im. Sergio Vieira de Mello:

Centrum Żydowskie w Oświęcimiu; Dom Spotkań im. Angelusa Silesiusa; Fundacja Dziedzictwo; Fundacja na rzecz Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży; Międzynarodowa Organizacja Studencka AIESEC; Komitet Lokalny Kraków; Stowarzyszenie Amnesty International; Stowarzyszenie Jeden Świat; Stowarzyszenie Praw Człowieka im. Haliny Nieć; Towarzystwo Demokratyczne Wschód; Towarzystwo im. Edyty Stein; Towarzystwo Ochrony Kultury Zgierza oraz następujące osoby prywatne: dr Jolanta Ambrosewicz-Jacobs, ks. Andrzej Augustyński, Konstanty Gebert, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, Antoni Malczak, Liliana Olech, Tadeusz Mazowiecki i Moleke Mo-Nije (Simon Mol).

Po zapoznaniu się z dokonaniem kandydatów nominowanych do nagrody i po przeprowadzeniu głosowania, Kapituła Nagrody zatwierdziła następujący werdykt:

Nagrodę im. Sergio Vieira de Mello w kategorii osoba otrzymuje Pan **Tadeusz Mazowiecki**.

Nagrodę im. Sergio Vieira de Mello w kategorii organizacja pozarządowa otrzymuje **Stowarzyszenie Jeden Świat**.

Serdecznie gratuluję.

Uzasadnienie werdyktu Kapituły Nagrody

Prof. Jacek Woźniakowski:

Osoba ta, jak Państwo niewątpliwie zauważyliście, siedzi teraz koło mnie, więc w moim uzasadnieniu boję się naruszyć jej modestię. Trudno, muszę jednak powiedzieć to, co mi leży na sercu. Dzisiaj, proszę Państwa, przeżywamy tutaj swoistą premierę. Nie tylko dlatego, że nagradzamy Premiera, pierwszego Premiera III Rzeczypospolitej, ale także dlatego, że po raz pierwszy przyznajemy Nagrodę im. Sergio Vieira de Mello. Istnieje jeszcze pewna bardzo dziwna okoliczność, która dodatkowo przyczynia się do tego poczucia, że po raz pierwszy coś się dzieje. Nasz Laureat posiada już tak wiele rozmaitych odznaczeń za swe zasługi na bardzo wielu polach, że nasza statuetka jest tylko takim dodatkiem, a jednak myślę, że dodatkiem o pewnej symbolicznej wymowie. Paradoksalnie nagradzamy kogoś, kto przyjął pewne trudne funkcje i z nich potem zrezygnował. Normalnie nie wręcza się nagród za takie dwoiste działanie, a tymczasem była to właśnie postawa, którą należało było przyjąć w tamtych okolicznościach, i stało się to dzięki Bogu i dzięki Tadeuszowi Mazowieckiemu.

Myślę, że oba te działania wymagały w wielkim stopniu swoistej odwagi, ponieważ decyzja o przyjęciu misji sprawozdawcy w zakresie praw człowieka na terenie tak strasznie podminowanym i trudnym, jakim jest teren byłej Jugosławii, wymagała osobistego poświęcenia i rezygnacji z wielu wygód życiowych i sytuacji znacznie bardziej komfortowych. Zaś rezygnacja z tej funkcji była jedyną rzeczą, którą Tadeusz mógł zrobić. Ja wiem, jak jest trudno, wszyscy to na pewno wiemy z doświadczenia, wzięwszy na siebie pewne zobowiązania powiedzieć nie, zrezygnować z dalszego ich wypełniania. Otóż to było jedyne, co Tadeusz mógł zrobić wobec niezgultwa, nieróbstwa, obojętności różnych instancji międzynarodowych, o których nie będę już mówił. To było jedyne, co rzeczywiście mogło potrząsnąć trochę tymi osobami, które się w te sprawy zaangażowały, wpatrzyły i były za nie w jakiś sposób odpowiedzialne.

Otóż i przyjęcie, i rezygnacja to są dwa symetryczne akty odwagi, której tak strasznie potrzeba dzisiaj, i której nigdy dosyć. Na ogół często jej brakuje w dzisiejszych działaniach i sprawozdawczych, i politycznych, i wszelkich społecznych poczynaniach. Zawsze trochę za mało tej odważnej decyzji, która potrafi ludziom coś powiedzieć i doprowadzić do pewnych sytuacji. Tadeusz się na to zdecydował i myślał, że dlatego ta nagroda, udzielona Premierowi ma jeszcze swoistą wagę pierw-

szeństwa w tej dziedzinie, kiedy nagradzamy kogoś, kto przyjął i odmówił, tak jak to trzeba było akurat wtedy zrobić.

Bardzo jesteśmy mu za to wdzięczni i jesteśmy wdzięczni za to, że tę nagrodę przyjmuje, bo to nadaje jej odpowiednią rangę na przyszłość. Ja mam nadzieję, że ci którzy będą w przyszłości laureatami tej nagrody, będą się oglądali na tę naszą premierę z pewną może zazdrością, że nie zawsze do niej dorastają. Daj Boże, żeby zrobili wysiłek dorastania i żeby rzeczywiście ta pierwsza nagroda była takim drogowskazem dla tych laureatów, którzy przyjdą w latach kolejnych.

Agnieszka Kosowicz

Kapituła Nagrody im. Sergio Vieira de Mello z przyjemnością uhonorowała tegoroczną nagrodą Stowarzyszenie Jeden Świat z siedzibą w Poznaniu. Stowarzyszenie Jeden Świat w ciągu kilku lat sprawiło, że nauka tolerancji stała się elementem programów edukacyjnych w setkach polskich szkół, małych i dużych, od Warszawy aż po Szczecin. Tematy tolerancji, wielokulturowości i praw człowieka zawitały do wszelkich środowisk i jesteśmy przekonani, że działalność Stowarzyszenia przyniesie nieoczekiwane i długofalowe efekty.

Poprzez program „Równi-Różni” Stowarzyszenie rozbudziło zainteresowanie tematem tolerancji wśród nauczycieli, uczniów, studentów i wielu innych młodych ludzi. Organizacja skupia też rosnące grono, dla których tolerancja jest nie tylko tematem lekcji, ale ich życiową postawą. Stowarzyszenie sprawia, że świat staje się lepszy, a ludzie lepiej rozumieją się nawzajem. Jesteśmy przekonani, że Stowarzyszenie Jeden Świat w pełni zasługuje na tę nagrodę.

Podziękowania

Tadeusz Mazowiecki

Ja chciałbym bardzo serdecznie podziękować za Nagrodę. Dla mnie jest ona bardzo ważna dlatego, że rzeczywiście z tą trzyletnią działalnością bardzo się czuję w dalszym ciągu związany.

Często nawet używam określenia, że Bośnia stała się moją drugą ojczyzną, gdyż widziałem i dramaty ludzkie, ale i zarazem widziałem, jak piękny jest to kraj. Kiedyś leciałem helikopterem i oglądałem ten piękny kraj, i mówiłem sobie: „Pan Bóg taki piękny kraj stworzył, a ludzie, co mu zrobili”.

Ta nagroda jest dla mnie też szczególnie cenna i miła ze względu na osoby Jury: Pana Profesora Zolla, Pana Profesora Kieresa, no, a zwłaszcza Jacka Woźniakow-

skiego, który był łaskaw tutaj mówić, uzasadniać ją, którego przyjaźnią mam nadzieję się cieszyć, a którego darzę ogromnym szacunkiem.

Być może, kiedyś miałem okazję poznać Sergio Vieira de Mello, ale raczej nie, nie pamiętam. Natomiast jeden z Polaków – profesor Kędzia był jego najbliższym współpracownikiem, już jako Komisarza ds. Praw Człowieka. Pośród ludzi pełniących tak wielkie i odpowiedzialne funkcje, Sergio de Mello, także ze względu na swoją śmierć, przypomina mi innego wielkiego działacza międzynarodowego – mianowicie Daga Hammarskjölda, który zginął, jak wiadomo, w katastrofie nad Kongo. Sergio de Mello zginął w katastrofie, podobnie jak Dag Hammarskjöld niosąc, chcąc nieść ludziom dobro, i za to go zabito. To wielka postać, której należy się nasza pamięć.

Pan Profesor Zoll mówił o tej niezbywalnej godności ludzkiej, którą wyrażają prawa człowieka. W obecnej dobie występują dwie tendencje rozumienia praw człowieka. Jedną tendencją jest ta, której nie podzielam – to jest tendencja do nazywania prawami człowieka coraz to nowych problemów, które ludzie w imię swoich idei, ideologii, często kontrowersyjnych, lansują uznając, że to jest prawo człowieka. Ale niech ta kontrowersja pozostanie. Wszystko, co twórcze, rozwija się w kontrowersjach.

Natomiast jest drugi sposób rozumienia prawa człowieka, który dostrzega, jak bardzo i w jak krótkim zakresie w dzisiejszym świecie te fundamentalne zasady uznania w człowieku bliźniego, uznania w człowieku takiego samego człowieka na różnych kontynentach, są niszczone.

Nie powinniśmy się stać nieczuli, a nawiązując do ostatnich słów poprzedniej dyskusji powinniśmy umieć zrozumieć, że w różnych kulturach, w różnych cywilizacjach, w różnych religiach jest coś wspólnego w sprawie tej godności ludzkiej, ale przejawia się tak w różny sposób. Otóż powinniśmy umieć nie narzucać swojego rozumowania, ale umieć z pokorą, jak tutaj dziś było powiedziane, odkryć ich rozumowanie.

Grażyna Puławska

Witam Państwa serdecznie, nazywam się Grażyna Puławska, jestem Prezesem Stowarzyszenia Jeden Świat i mam dzisiaj ogromną przyjemność odbierać razem z moim kolegą, Marcinem Prince, tę wspaniałą nagrodę. Chciałabym za nią podziękować Kapitulę, a także osobie, która nas nominowała do nagrody – Pani Marcie Kołodziejczyk. A przede wszystkim chciałabym podziękować wolontariuszom i pracownikom – bez wolontariuszy nie osiągnęlibyśmy tego, co nam się udało, bez

wolontariuszy nie byłoby tej nagrody. Więc jeszcze raz z całego serca dziękuję wszystkim, którzy od dziesięciu lat współpracują z nami, którzy od 1996 roku są zaangażowani w działania programu „Różni-Równi”, którzy udzielają lekcji w szkołach wierząc w to, że możemy zmienić świat, ale wierząc także w to, że jeżeli chcemy zmieniać świat, to powinniśmy zacząć od siebie, a nie pokazywać innym, co robią źle. Tym bardziej jestem szczęśliwa, że mija niecały miesiąc od momentu, kiedy obchodziliśmy nasze dziesięciolecie. Dziękuję raz jeszcze za to wspaniałe wyróżnienie.

Marcin Princ

Martin Luter King powiedział to słynne zdanie: „I have a dream”. Myślę, że tym snem i tą myślą zostaliśmy połączeni my tutaj. My, którzy skupiliśmy się na działaniach w imię pokoju i praw człowieka. Pokój i prawa człowieka także przyświecają wolontariuszom, którzy na co dzień poświęcają swój bezinteresowny dar, oddają swój bezinteresowny dar innym i dzielą się tym, co uzyskali na uczelni, co uzyskali od swoich starszych kolegów, i za to im wszystkim – moim kolegom, dziękuję.

Chciałbym wspomnieć tutaj jednego kolegę – takiego Grzesia, który, po pobycie w Ośrodku dla Uchodźców, zorganizował akcję: „Kup Pan Kredkę”. „Kup Pan Kredkę” – tak, to jest takie proste, jednakże jak ważne dla dzieci, które wychowują się właśnie w ośrodku dla uchodźców, które nie mają co robić, w których oczach jeszcze tkwi wojna. Dzięki tym kredkom, dzięki rysunkom mogą przelać na papier to, co przeżyły u siebie w kraju.

Staramy się przekazać to, co najważniejsze – że nie wystarczy urodzić się człowiekiem, ale trzeba nim jeszcze być, i warto nim być.



**Lista ekspertów
i wykładowców**

EKSPERCI, WYKŁADOWCY I UCZESTNICY DYSKUSJI

Dr Jolanta Ambrosewicz-Jacobs, Uniwersytet Jagielloński

Victor Ashe, Ambasador USA w Polsce

Tomasz Bielecki, dziennikarz, „Gazeta Wyborcza”

Gen. broni Mieczysław Bieniek, Dowódca Wielonarodowej Dywizji

Centralno-Południowej w Iraku w latach 2003-2004,

Dowódca 2. Korpusu Zmechanizowanego

Dariusz Bohatkiewicz, dziennikarz, Telewizja Polska

Prof. Michael Daxner, Główny Międzynarodowy Oficer ds. Edukacji i Nauki

Misji ONZ w Kosowie, Doradca Ministra Edukacji w Afganistanie

Danuta Glondys, Dyrektor Stowarzyszenia Willa Decjusza

Prof. Andrzej Kapiszewski, Uniwersytet Jagielloński, były Ambasador RP

w Zjednoczonych Emiratach Arabskich

Jan Kavan, były wicepremier i minister spraw zagranicznych Czech,

Przewodniczący Zgromadzenia Ogólnego NZ 2002-2003

Katarzyna Kolenda-Zaleska, dziennikarz TVN

Marta Kołodziejczyk, Uniwersytet Jagielloński

Agnieszka Kosowicz, Pełnomocnik ds. Informacji UNHCR

Krystyna Kurczab-Redlich, niezależny dziennikarz

Ewa Łabno-Fałęcka, dyrektor PR, DaimlerChrysler

Marcin Mamoń, reżyser, dokumentalista

Tadeusz Mazowiecki, Premier RP w latach 1989-1990, Specjalny Sprawozdawca

Komisji Praw Człowieka ONZ w Jugosławii w latach 1992-1995

Igor Melnik, redaktor gazety „Postup” we Lwowie

Grzegorz Miecugow, dziennikarz TVN 24

Plk Zygmunt Miłaszewski, Ministerstwo Obrony Narodowej

Sikose Mji, Ambasador Republiki Południowej Afryki w Polsce

Marcelo Andrade de Moraes Jardim, Ambasador Brazylii w Polsce

Gen. dyw. William L. Nash, emerytowany generał armii USA;

Dyrektor Centrum Antykryzysowego,

Rada ds. Stosunków Międzynarodowych

Jerzy Marek Nowakowski, komentator polityczny, tygodnik „Wprost”

- Janina Ochojska**, Prezes Fundacji Polska Akcja Humanitarna
- Jan Piekło**, Dyrektor Instytutu Mosty na Wschód
- Milica Pesic**, Dyrektor Media Diversity Institute, Londyn
- Mariusz Pilis**, dokumentalista, niezależny producent
- Marcin Princ**, Stowarzyszenie Jeden Świat
- Danuta Przywara**, Helsińska Fundacja Praw Człowieka
- Grażyna Puławska**, Prezes Stowarzyszenia Jeden Świat
- Prof. Adam Daniel Rotfeld**, Sekretarz Stanu w MSZ
- Arne Ruth**, były redaktor naczelny „Dagens Nyheter”,
Szwedzki Komitet Helsiński
- Plk Krzysztof Salaciński**, Dyrektor Biura Spraw Obronnych,
Ministerstwo Kultury RP
- Adam Szostkiewicz**, dziennikarz, tygodnik „Polityka”
- Szymon Szurmiej**, Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce
- Krzysztof Śliwiński**, Ambasador RP, były Ambasador w Maroku
i w Republice Południowej Afryki
- Antonio Tarelli**, Minister Pełnomocny MSZ Włoch,
były Ambasador Włoch w Macedonii
- Róża Thun**, Prezes Polskiej Fundacji im. R. Schumana
- Paul Uchoa**, były asystent Sergio Vieira de Mello, Ambasada Brazylii w Paryżu
- Stefan Wilkanowicz**, Fundacja Znak
- Prof. Jacek Woźniakowski**, Przewodniczący Zarządu
Stowarzyszenia Willa Decjusza
- Ernest Zienkiewicz**, Przedstawiciel UNHCR w Polsce
- Prof. Andrzej Zoll**, Rzecznik Praw Obywatelskich





Adam Szostkiewicz, Marcin Mamoń, Dariusz Bohatkiewicz,
Krystyna Kurczab-Redlich, Milica Pesic



Dariusz Bohatkiewicz, Krystyna Kurczab-Redlich, Milica Pesic



Mariusz Piliś, Jerzy Marek Nowakowski, Tomasz Bielecki, Arne Ruth



Danuta Przywara, Grzegorz Miecugow, Sikose Mji



Antonio Tarelli, Agnieszka Kosowicz



Janina Ochojska



Statuetka Nagrody imienia Sergio Vieira de Mello
autor: Andrzej Renes



Ewa Łabno-Fałęcka



prof. Andrzej Zoll



Tadeusz Mazowiecki, prof. Andrzej Zoll



Tadeusz Mazowiecki,
Grażyna Puławska, Marcin Princ – Stowarzyszenie Jeden Świat



Tadeusz Mazowiecki



Marcelo Andrade de Moraes Jardim,
Janka Burianová – Konsul Generalny Słowacji w Krakowie



Marcelo Andrade de Moraes Jardim, Marcin Princ, Paul Uchoa,
Grażyna Puławska



ISBN: 83-88292-93-5